

Józef
ŁOBODOWSKI
NOTATNIKI

_____ Tom 1

Poezja · Proza

Józef
ŁOBODOWSKI
NOTATNIKI

Józef
ŁOBODOWSKI
NOTATNIKI

_____ Tom 1

Poezja · Proza

REDAKCJA NAUKOWA

Dariusz Pachocki

Aleksander Wójtowicz

Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej

Lublin 2023



Publikacja finansowana w ramach programu Ministra Edukacji i Nauki
pod nazwą „Narodowy Program Rozwoju Humanistyki” 2016,
nr projektu 11H 16 0328 84

OPRACOWANIE TEKSTÓW

*Jarosław Cymerman, Monika Gabryś-Stawińska, Anna Marcińczak
Dariusz Pachocki, Aleksander Wójtowicz, Jerzy Święch*

Redakcja wydawnicza
Laura Możdżeń

Redakcja techniczna
Agnieszka Muchowska

Projekt okładki i stron tytułowych
Krzysztof Trojnar

Skład
Wojciech Olech

© Wydawnictwo UMCS, Lublin 2023

ISBN 978-83-227-9744-0

Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej
ul. Idziego Radziszewskiego 11, 20-031 Lublin
tel. 81 537 53 04
www.wydawnictwo.umcs.eu
e-mail: sekretariat@wydawnictwo.umcs.lublin.pl

Dział Handlowy
tel./faks 81 537 53 02
Księgarnia internetowa: www.wydawnictwo.umcs.eu
e-mail: wydawnictwo@umcs.eu

Druk i oprawa
„Elpil”, ul. Artyleryjska 11, 08-110 Siedlce

Spis treści

Wstęp	9
Józef Łobodowski [nota biograficzna]	13
POEZJA	
Sonety dla Sulamity	17
[Tańczcie panny jerozolimskie...]	22
Zuzanna w kąpiele	25
[Gdym ją zobaczył po raz pierwszy...]	28
Wołyńska czarownica	30
[Gdyśmy się ocknęli...]	33
[Wiatr upalny w puszczy się rozsrożył...]	35
[Munazara]	37
[Perska ojczyzna]	38
[Sonety morskie]	39
[Mare nostrum]	40
[Pochwała Królestwa Aragonii]	41
[Poemat średniowieczny na Berceuszu wzorowany] (fragment)	43
[Konie i oliwy]	44
Na wzgórzach Krety	45
O Leukotei	47

Sąd Parysa	48
Śmierć Orfeusza	50
Upadek Troi	52
Via Lactea	54
Proroctwo	55
Klątwa	56
W rocznicę rewolucji	58
[Bój pod Wizną]	60
[Nie było...]	62
Dedykacja	63
Zachodnim intelektualistom	65
Cztery fraszki na mównicę	67
Na Janusza Kowalewskiego	68
[Ktoś wskazał na cały wzrost – niezmierny...]	69
Jewszan – ziele	70
Jewszan – ziele [II]	70
[Tylko ty mi, zmarły ojczy, nie mów...]	71
Szkic wiersza	72

PROZA

Mój kolega Nowikow	75
Dusze chce łowić	81
[O Waławie Mrozowskiem – wspomnienie] (fragment)	90
Cztery Lubliny	93
Cztery Lubliny (II) (fragment)	97
Została po niej tylko nazwa...	101
Spotkanie w Nicei	107

[„Tu mówi Madryt”]	111
Dlaczego zostałem w Hiszpanii	122
Requiem dla miłego miasta	129
Medytacje na plaży	138
[Proza obyczajowa] (fragment)	143
[Proza historyczna] (fragment)	145
Ilustracje	149

Wstęp

Józef Łobodowski tworzył na emigracji prawie sześćdziesiąt lat. Po udziale w kampanii wrześniowej w 1939 roku przedostał się na Węgry, skąd trafił do Francji, a następnie do Hiszpanii, w której spędził resztę życia. Brał czynny udział w polskim życiu emigracyjnym, publikował na łamach paryskiej „Kultury”, londyńskich „Wiadomości” oraz innych czasopism emigracyjnych, pracował w Polskiej Sekcji Radia Madryt, a przede wszystkim – intensywnie tworzył. Jego dorobek literacki z okresu emigracyjnego jest bardzo rozległy i zróżnicowany gatunkowo; pisał wiersze, powieści, eseje, teksty krytycznoliterackie oraz publicystyczne, a jednocześnie uprawiał działalność przekładową.

Teksty te nie były jednak ogłaszane drukiem w kraju. Ze względu na krytyczny stosunek do komunistycznych władz jego twórczość po roku 1945 była w Polsce nieznana, a przynajmniej nie było jej w obiegu oficjalnym, kontrolowanym przez państwową cenzurę. Przez wiele dekad ostatnią książką, jaką Łobodowski opublikował w kraju, było *Demonom nocy* (1936), a sytuacja zaczęła ulegać zmianie dopiero po transformacji ustrojowej roku 1989. W szybkim czasie ukazały się trzy wybory jego wierszy – *List do kraju* (Lublin, 1989), *Poezje* (Lublin, 1990) oraz *Wiersze i poematy* (Warszawa, 1991), w kolejnych zaś zaczęły ukazywać się wybory jego tekstów publicystycznych.

Obecnie Józef Łobodowski jest jednym z najczęściej wznawianych pisarzy emigracyjnych drugiej połowy minionego stulecia. W ciągu ostatnich kilkunastu lat opublikowana została znaczna część jego obszernego dorobku poetyckiego i prozatorskiego. Mowa tutaj przede wszystkim o trzutomowych *Wierszach i poematach* (Lublin, 2020) oraz dwóch cyklach powieściowych – tetralogii (*Czerwona wiosna*, *Terminatorzy rewolucji*, *Nożyce Dalili* oraz *Rzeka graniczna*, Londyn, 1965–1970;

wyd. polskie Lublin, 2018) oraz trylogii ukraińskiej (*Komysze, W stancy, Droga powrotna*, Londyn, 1955–1960; Lublin, 2017–2019 oraz Kraków, wyd. I – 2020, wyd. II – 2022). W ostatnich latach ukazały się zarówno wybory tekstów publicystycznych *Przeciw upiorom przeszłości: myśli o Polsce i Ukrainie* (Lublin, 2015), *Poeta wobec sejsmicznych ruchów historii* (Paryż, 2017), jak i korespondencji: *Listy. 1947–1988*, Jerzy Giedroyc, Józef Łobodowski (Warszawa, 2022) oraz *Listy do redaktorów „Wiadomości”* (Toruń, 2015). Jeżeli dodamy do tego ogłoszenie drukiem nieznanego dotąd dramatu *Wyzwolenie* (Lublin, 2021), to otrzymamy pokaźny ilościowo oraz zróżnicowany gatunkowo zbiór tekstów, które stanowią rdzeń bogatego dorobku pisarza.

Widziana z dzisiejszej perspektywy twórczość Łobodowskiego wydaje się jednym z ciekawszych zjawisk zesłowieczonej literatury emigracyjnej, ponieważ powstawała w znacznej mierze poza centrami kulturowymi, wokół których skupiali się wygnańcy. Zachowywała w stosunku do nich spory dystans literacki, intelektualny oraz światopoglądowy, który w znacznej mierze przesądził o powstaniu wizerunku Łobodowskiego jako pisarza osobnego, bezkompromisowego outsidera. Z hiszpańskiej perspektywy wiele problemów oraz zjawisk jawiło się nieco inaczej niż z Londynu bądź Paryża, a więc miast, w których skupiały się wówczas największe polskie środowiska emigracyjne. Iberyjskie doświadczenia kulturowe, historyczne oraz polityczne narzuciły odmienny kontekst rozpatrywania oraz wartościowania spraw bieżących, przełożyły się także na nieco inny krąg zainteresowań literackich. Wpłynęły także na inny styl życia i pracy, o czym chętnie wspominał sam pisarz, niejednokrotnie wtajemniczając czytelników w okoliczności, w jakich powstawały jego teksty („Plaża śródziemnomorska sprzyja mi pod każdym względem. Gdy kładę się na płóciennym leżaku i zamykam oczy pod palącym słońcem, jak łatwo o płodne medytacje!”, pisał w opublikowanym w niniejszej edycji tekście *Medytacje na plaży*).

Dziś, kiedy – jak się rzekło – znaczna część twórczości Łobodowskiego została przybliżona krajowemu czytelnikowi, na pierwszy plan wysuwają się nowe kwestie, które dotyczą już nie tylko samych utworów, lecz również dynamiki ich powstawiania. W tej perspektywie interesujące jest nie tylko samo dzieło, ale również jego geneza. Rzecz wydaje się szczególnie interesująca w przypadku Łobodowskiego, który często pracował równolegle nad różnymi tekstami, niejednokrotnie dalekimi od siebie zarówno gatunkowo, jak i pod względem problemowym.

A jednocześnie utrzymywał się z pisania, które stanowiło najważniejsze źródło dochodu; pisał więc dużo i na różne tematy, wcielając się na zmianę w poetę, prozaika, tłumacza, eseistę, publicystę.

Materialnym śladem tak bogatej aktywności pisarskiej są notatniki Łobodowskiego. Jako pierwsza zwróciła uwagę na nie Irena Szypowska, która w poświęconym im szkicu pisała:

Józefa Łobodowskiego poznałam w Madrycie w listopadzie 1981 roku i od tego czasu spotykaliśmy się wielokrotnie podczas moich corocznych paromiesięcznych pobytów w tym mieście. Nasze rozmowy toczyliśmy w barze Hermanos Portillo, mieszczącym się na parterze kamienicy, w której poeta wynajmował skromne mieszkanie. W tym barze zawsze przy tym samym stoliku obłożonym książkami i gazetami spędzał wiele godzin, czytając lub zapewniając niebieski zazwyczaj notatnik artykułami, felietonami, listami do redaktorów i przyjaciół, a nawet wierszami. Szczęk mytego szkła, głosy kelnerów, rozmowy gości, a nawet transmisje meczy i walki byków nie przeszkadzały mu. Potem zabierał wszystko na górę, poprawiał, przepisywał na starym remingtonie i przygotowywał do wysłania¹.

Zarysowany tutaj barwny obrazek obyczajowy mówi wiele o sposobie pracy Łobodowskiego, u którego praktyka pisarska była ściśle sprzęgnięta z życiem codziennym. Pojawiająca się we wspomnieniach Szypowskiej postać pisarza nie przypomina w niczym tak charakterystycznej dla literatury minionego stulecia figury wygnańca, przeciwnie: jest to figura artysty mocno zrosniętego z najbliższym otoczeniem, a jednocześnie biorącego intensywny udział w lokalnym oraz emigracyjnym życiu kulturalnym. Choć dziś trudno rekonstruować ulotne okoliczności, jakie towarzyszyły codziennej pracy Łobodowskiego, to jeden z elementów, o jakich pisała Szypowska, zachował się po dziś dzień.

„Niebieskie notatniki”, bo o nich mowa, stanowią materialny ślad tych pisarskich praktyk. Choć trudno jednoznacznie wyrokować, na ile powstawały wyłącznie w opisanych powyżej sytuacjach, to ich brulionowy charakter nie budzi wątpliwości, zawierają bowiem zatem teksty notowane „na gorąco”, a później modyfikowane bądź przeredagowywane. Wydaje się też pewne, że notatniki były istotnym elementem pisarskiego warsztatu Łobodowskiego, o czym może świadczyć duża ilość zachowanych egzemplarzy notesów (dziewiętnaście), jak również szeroka

¹ I. Szypowska, *O niepublikowanych notatnikach Józefa Łobodowskiego*, „Eslavística Complutense”, 2010, nr 10.

rozpiętość czasowa zapisanych w nich tekstów (ok. 1975–1984), czy wreszcie fakt, że na ich kartach znalazły się pierwsze wersje tekstów poetyckich, które ukazały się w kilku tomach: *Dwóch książkach* (1984), *Mare Nostrum* (1986) oraz *Pamięci Sulamity* (1987).

Notatniki odsłaniają warsztat pisarski Łobodowskiego. Dzięki nim możemy dziś przekonać się, jak wyglądała praca emigracyjnego pisarza, który funkcjonował poniekąd na uboczu, a jednocześnie brał intensywny udział w życiu kulturalnym oraz politycznym. Nie ograniczał się przy tym wyłącznie do spraw polskich, chętnie bowiem komentował również wydarzenia, jakie rozgrywały się w Hiszpanii i na świecie. Rozległą skalę tych zainteresowań widać w poszczególnych notatnikach; każdy z nich zawiera kilkadziesiąt gęsto zapisanych kart, na których znajdują się robocze wersje tekstów poetyckich, prozatorskich, publicystycznych, przekłady na język polski oraz hiszpański, brudnopisy listów, a także notatki osobiste. Jest to zatem materiał obszerny ilościowo i zróżnicowany tematycznie; w dziewiętnastu notesach znajdują się teksty o różnorodnym charakterze genologicznym i problemowym, jak również na różnym etapie procesu twórczego.

Zamieszczone w ramach niniejszej edycji teksty prezentują szeroki zakres pisarskiej aktywności Łobodowskiego, jaka kształtowała się na stronicach notatników. Jest to wybór utworów poetyckich, prozatorskich, krytycznoliterackich, publicystycznych, jak również przekłady na język hiszpański, słowem: wszystko to, co złożyło się na heterogeniczną zawartość notatników. Dodatkowo w każdym tomie załączono reprodukcje stronic notatników, dzięki czemu Czytelnik będzie mógł zapoznać się z ich materialnym wyglądem; zobaczyć, jak wyglądały rękopiśmienne teksty Łobodowskiego, zapoznać się nie tylko z duktem pisma, ale również sposobem, w jaki pracował nad tekstami, nanosząc na nie korekty (zazwyczaj kolorem długopisu innym od tego, jakim zapisany został pierwotny tekst).

Józef Łobodowski [nota biograficzna]

Urodził się 14 marca 1909 roku na Suwalszczyźnie (Purwiszki, gmina Wiejsieje, powiat Sejny – litewska Auksztota). Do piątego roku życia przebywał wraz z rodziną w Lublinie, następnie w Moskwie (1914–1917) i w Jejsku na Północnym Kaukazie (ziemia Kozaków kubańskich). W maju 1922 wrócił z matką i siostrą do kraju i aż do roku 1937 przebywał (z krótkimi przerwami) w Lublinie. Debiutował w 1929 tomem wierszy *Słońce przez szpary*. Następnie wydał *Gwiazdny psalterz* (1930), *O czerwonej krwi* (1931), *W przeddzień* (1932), *Rozmowa z ojczyzną* (1935), *U przyjaciół* (1935), *Demonom nocy* (1936).

Ten ostatni tom został odznaczony w roku 1937 Nagrodą Młodych Polskiej Akademii Literatury (za najlepszą książkę roku pisarza, który nie ukończył trzydziestu lat).

W latach 1931–1934 Łobodowski prowadził w Lublinie żywą działalność publicystyczną i wydawniczą o nastawieniu lewicowym („Kurier Lubelski”, miesięczniki „Barykady”, „Dźwigary”). Był wielokrotnie konfiskowany i stawał przed sądem. W roku 1935 nastąpił przełom ideowy i Łobodowski zaczął zwalczać w zdecydowany sposób skrajną lewicę, głównie na łamach „Wiadomości Literackich” (artykuły *Smutne porachunki* – 1935, *Uzurpatorzy wolności* – 1936). Natychmiast stał się celem ataków ze strony prasy jawnie i krypto-komunistycznej.

Przy końcu sierpnia 1939 roku został zmobilizowany i odbył kampanię wrześniową w szeregach 10. Pułku Strzelców Konnych (10. Brygada Kawalerii Zmotoryzowanej). Po internowaniu na Węgrzech przedostał się tejże jesieni najpierw do Jugosławii, następnie do Francji. W roku 1941 w Nicei w Oficynie Samuela Tyszkiewicza ukazał się tom jego wierszy wojennych pt. *Z dymem pożarów*. Po zakończeniu wojny osiedlił się w Hiszpani, gdzie przebywa po dziś dzień. W latach 1944–1975 był

redaktorem i ścisłym współpracownikiem Polskiej Audycji Radia Hiszpańskiego. Na emigracji ukazało się kilkanaście jego książek, w tym siedem powieści, sześć tomów poetyckich oraz zbiór fraszek i satyr pt. *Uczta zadżumionych*. Poważną część jego twórczości wypełniają przekłady poetów rosyjskich, ukraińskich i białoruskich, a od roku 1945 także hiszpańskich. Pod tym względem ma za sobą poważny dorobek. W najbliższym czasie ma ukazać się pokaźna antologia, obejmująca przekłady z kilkudziesięciu poetów hiszpańskich, poczynając od XIII wieku po dziś dzień. A więc obejmie siedemset lat liryki hiszpańskiej.

Łobodowski współpracuje z najważniejszymi czasopismami wychodzącymi na emigracji, ogłaszając artykuły, fragmenty prozy, poezje i przekłady poetyckie. W roku 1979 obchodził dwa prywatne jubileusze: w marcu skończył siedemdziesiąt lat, a w październiku upłynęło pięćdziesiąt lat od jego debiutu poetyckiego. Ma w rękopisie niejedną książkę, ale sytuacja wydawnicza na emigracji jest coraz gorsza: na biologię nie ma rady – starsze roczniki wymierają.

Józef Łobodowski

N8, k. 51–52 v. Nota biograficzna.

POEZJA

Sonety dla Sulamity

I

Sulamita polną drogą wędruje leniwie,
a już stado centaurów ku niej tętni;
swoją grzbiet każdy podstawiłby najchętniej,
ale lękają się, bo na brwi podwójnej cięciwie
napina złote strzały, więc pierzchliwie
odbiegają... Ona obojętnie
prowadzi stopy, zanim do jej tętnic
nie spłynie słońca żar i na kwiecistej niwie
nie uklęknie nad srebrnym wołyńskim ruczajem,
aby chłodu zaczerpnąć dłonią sніadą.
I już na wieki jej postać w nurcie pozostaje.
Płatki trojand, napływając, na jej włosach się kładą,
biją dzwony nad pszenicznym krajem
i powraca na pastwisko centaurów stado,
już oswojone i ufne. Nastaje
znowu cisza słoneczna i radość.

II

Upał. Sulamita swą suknię rozpina,
już jest od góry naga, a od dołu bosa...
Płatki trojand więdną na jej włosach,
centauirom do ust napływa chutna ślina.
Ale jeszcze nic się nie zaczyna,
dopiero, gdy łąka wstanie w wieczornych rosach
i konstelacje wyjdą na niebiosa,
a puszcza sąsiednia stanie się ciemno-sina.

W puszczy pohukiwanie nocnych sów.
Wtedy będzie podobna Dyjannie,
bo nad czołem księżycowy nów
zakołysze się, świecąc nieustannie,
centaury przybliżą się znów,
by położyć się, senne, przy pannie.
A ten obraz wyrywam z mych przedwiecznych snów,
by przekazać go umarłej Zuzannie.

III

Była srebrna, a teraz całkowicie śniada,
tylko w ustach świeci srebrny uśmiech.
Śpią centaury, ale ona nie uśnie,
bo wnet wicher się zerwie i zada
cios jej biodrom. Więc posłusznie się rozkłada:
dobrze wie – w zachwyceniu, w półśnie –
że przyjdzie północ i co się stanie później,
gdy centaury zbudzone będą rzeć i siadać na zadach.
Wicher znużył się i u stóp jej zamilkł,
lecz ją przedtem celnym wierszem zapłodnił,
więc centaury potrząsają grzywami,
z nieba leci żar gwiazdzistych pochodni,
i dopiero teraz, Zuzanno, zostaniemy sami
już we wszystkim złączeni i zgodni.
Najpiękniejszej z urodziwych Sulamit,
która staniesz się ofiarą
najpodlejszej z ludzkich zbrodni!

IV

Gdy znużona usnęła przed świtem,
czerwone trojandy zakwitły u jej kolan.
Jakże cieszyły się wołyńskie pola,
a świty były natychmiast
w tym samym czasie złoto-lite,
i [-] [-] zorane pola,
wiadomo było –
ona syta tym mężom mówiła: Moją panięską dolą
wchodzić w poezję nieustającym mitem.

Po latach tylko jedno oświadczyć zdołam:
tam się działy sprawy niesamowite.

V

Siedzącemu na skraju niegdysiejszych zwalisk
wciąż przypomina się ta rzecz niewiarygodna,
gdy strumień był przyjazny, łąka z nami zgodna
i w ustach smak przed chwilą rozgniecionych malin.
Nie było centaury, który by nie pochwalił
sprawy, co przy gwiazdzistych stała się pochodniach.
Słońce nad nami stało, chociaż jeszcze do dnia
było daleko, myśmy nie czekali
do świtu: jej białych ramion było dość mi,
aby że wciąż noc nie pamiętać;
żadnych zegarów nie zna czas miłości,
każda pora jest dobra, jeśli trawa, nim zostanie zżęta,
chętnie podkłada się pod sierp, centaury na tęczy, jak na moście
i ziemia, razem z nami, wniebowzięta.
Więc było ciągle goręcej i radośniej,
biły tym samym rytmem zachwycone tętna.

VI

Jakiś trzmiel buczący się zabłąkał,
krążył, jak gdyby chciał mnie od ciebie odstraszyć
– co mu, głupiemu, było do spraw naszych? –
odleciał, a dysząca twoim ciepłem znojna łąka
sprawiała, żem ponownie w kwietnych pąkach,
jakbym był trzmielcem, raz po raz się zaszył...
Centaury już więcej nie śmiały nas straszyć
i nikt nie podejrzewał, że wkrótce nastąpi rozłąka.
Ile byliśmy żywotowi doczesnemu dłużni,
spłacaliśmy radośnie i szczerze –
zabłąkani w wieczystej przestrzeni podróżni
nie wiedzieliśmy, jak rychło się podrze
tkanina szczęścia i los nas poróżni,
wtedy ufnych: usta przy ustach i biodro przy biodrze.
Tyś była w historycznej próżni złotą lipą,
a ja – silny modrzew.

VII

Tego żadna przegrana wojna nie odbierze:
aż do dna samego zapatrzone oczy,
wicher, który nas tej nocy zauroczył,
krwi i ciała najszczelniejsze przymierze;
niebo z każdą chwilą otwierało się szerzej,
szły głosy zachwycone z wołyńskich uroczysk,
księżyc srebrnym ramieniem nas otoczył;
nie szczędziliśmy się wzajem nawet w drobnej mierze.
Potem księżyc gwiazdy zagarniał także srebrnym niewodem,
myśmy byli także schwytani w tym niewodzie,
wciąż mało było ustom ust i biodrom bioder,
stawało się coraz pijaniej i słodziej,
już nie wiedziałem: byłaś gorzałką, czy wystąłem miodem –
ale pewny, że pijaństwo będzie trwało co dzień.

VIII

Zanim się urodziłaś, już ciebie przeczuł Norwid:

IX

Na zakończenie jeszcze jeden sonet.
Ramiona obnażone, usta nienasycone –
jakże takie wspomnienie odmienię?!
Tego wspomnienia wiekuisty jeniec –
tyś już popiołem, a ja ciągle płonę,
niech raz jeszcze twe oczy złocisto-zielone
ujrzę, wtopione w takóž złotą zieleń.
Na łące cienie, jak wtedy, ciemno-sine,
wszystko działo się najzwyczajniej, najprościej,
gdys wciągała mnie na bezdenną głębinę...
Centaury znowu wypuszczają się w pościg?
Jużeś, panno, przeminęła, ja także przeminę,
lecz nie w historii oklasku i miłości!
Kto taką miewał dziewczynę,
powiedz, śmierci, gdzie jest twój oścień?

PRZESŁANIE

Jerozolimskim wdzięcznym pannom:

Tak widziałem ją pod wołyńskim księżycem.

Zuzanno,

nie raz jeszcze twym wspomnieniem się zachwycę!

Sonety dla Sulamity

N12, k. 6–15 r, 9 v, 13 v. Jest to jeden z kilku znajdujących się w *Notatnikach* wierszy, które Łobodowski poświęcił Sulamicie, czyli Zuzannie Ginczance. Są one świadectwem pracy nad tomem *Pamięci Sulamity*, który ukazał się nakładem Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie w 1987 roku. Prezentowane w niniejszej edycji teksty nie zostały włączone do tomu lub stanowią zarzucone warianty wierszy opublikowanych we wspomnianym zbiorze.

[Tańczcie panny jerozolimskie...]

I

Tańczcie panny jerozolimskie,
chylcie się w pokłonie przed Sulamitą!
Wychwalajcie jej owoce wszystkie,
ich smak szacowny i soczystą znakomitość!
Oto stoi pod gwiazd wiekuistym błyskiem,
cała podana ku zmierzchom i świtom;
było pięknych panien i mężatek wiele –
żadna nie wywyższyła się nad nią w Izraelu.

Urodziła się daleko od Libanu,
nie kąpała się nigdy w Hebronie...
Teraz się, śmiertelniku zachwycony, zastanów,
gdy całujesz jej usta i dłonie,
czy nie będzie zbyt górna dla twojego stanu,
i jakim się przed tą miłością słowem obronisz,
jeśli prędeż lub później prawda się wyda,
że byłaby godna
wejść do łożnicy samego króla Dawida.

Tańczcie panny jerozolimskie,
wychwalajcie Sulamitę zawstydzoną.
Nikt nie zdobył jej bogactwem ani nazwiskiem,
tylko tego dopuściła ku swym ramionom,
który *Pieśń nad Pieśniami* w polskiej mowie jej czytał
i w wołyńskie wieczory upalne
obejmował ją – wicher daktylową palmę,
a powietrze – płonąca okowita.

Czemu cię nazwano Zuzanną?
Powinno być: Judytą, Miriam albo Deborą.
To nieważne – tańczącym jerozolimskim pannom
i tak twe imię brzmiało jak ekstacyjny chorał..
Kiedy pod gwiazdą zaranną
mystyczną, błogosławioną porą
urodziła się, czyste wody wezbrały w Jordanie,
a wiatr to już nie był wiatr, lecz oszalały taniec.
I od owego dnia aż do dzisiejszych lat
żywiły na kolanach stoją przy Zuzannie!

I ja także – jeszcze jeden przy niej żywiól.
Jakże pachniało świeżo skoszone siano!
Przysięgałaś – wszystkie róże w ogrodzie się dziwią,
że czas na chwilę nad nami przystanął,
a ty ciągle masz lat siedemnaście..
Wyprowadza pasterz
kierdel białych owiec w każde srebrne rano
i powiada: Nad Hebronem się paście!
Dopiero teraz..
Gdy jej nie ma wśród żywych
po latach, odkąd ją zamordowano..
Jeszcze płaczą cedry Libanu,
polskie wierzby i hiszpańskie oliwy..
Szloch sznuruje krtanie jerozolimskim pannom,
szloch... I po tylu latach, Zuzanno,
przyjmij te słowa nieudane i ten żal prawdziwy!

II
Wzgórza izraelskie dźwigają winnice obfite,
pola wołyńskie wzbierają pszenicą i żytem,
Zuzanna czyta z zachwytem *Canticum Canticorum*..
Mgły nad Horyniem biją ze srebrnych kadzielnic,
Pieśń nad Pieśniami zaczyna się spełniać,
zaraz się spełni
i znojny wiew [-] idzie ku mrocznym borom.

W ustach miód i mleko, i mięta,
stanik wsparty na ciekawie spoglądających jagniętach,
myrrą i nardem wezbrany bioder bukłak,
uda, opadające niewiarygodnym ciałaśpadem,
słowa z ust wychodzące gorące i śniade,
by jeszcze mocniej uwydatnić jej urodę.

Tę pochwałę w słońcu rozpalonym kładę,
pijcie ze mną na radość i na zgodę.

Napisałem te zwrotki Zuzanno,
gdy już jesteś od dawna popiołem.
Zamordowana panno,
do twych martwych stóp przypadam czołem.
Nigdy liliom wołyńskim i dziewannom
otrzeć łez po twym zgonie nie zdołam.
Poeci izraelscy, których Jahwe swym palcem naznaczył,
idźcie żałobną gromadą pod Ścianę Płaczu
opłakiwać panny stratowane życie!

Jeżeli czułe słowa jeszcze coś znaczą,
czytajcie ten wiersz, poświęcony Sulamicie.
Bóg, który wywyższa się ponad narody i stany,
błogosławiący wszystkim zakochanym,
ich serc opiekun i nauczyciel...

Poeci izraelscy, którzyście nie znali Zuzanny,
jej urodę wraz ze mną uczcijcie!

[*Tańczcie panny jerozolimskie...*]

N7, k. 40–44 v. Jest to wariant tekstu, który nie został włączony w całości do tomu *Pamięci Sulamity*; pierwsze cztery strofy po niewielkich modyfikacjach zostały opublikowane jako początek wiersza *Na śmierć Sulamity* (s. 19–21).

Zuzanna w kąpeli

Czy widzieliście, jak woda w rzeczonym nurcie zakwita?
Patrzyłem: ramion narcyzy, piersi – lilie i róże...
Biodra, które poczęły się z brzasku wczesnych świtań,
i oczy, pożyczone od najpiękniejszych wrózek.
Usta, które nie chciały zadawać żadnych pytań,
dobrze wiedząc, że chwili oczekiwania nie przedłużę,
aż się jej kwietny ogród
w czarodziejski krajobraz wcieli...

Zuzanna święci swój rozkwit w porannej kąpeli.

Kto jej uda takim kształtem rozwidlił,
że się oczom śmiertelnym musi bóstwem wydać?
Wynurza się z białych pian, jak z morskich mydlin –
ponownie na świat przychodząca Cypryda.
Kiedy wodę roztrząsa ruchem złotych bioder,
rzeka zmienia swój bieg, by mocniej ogarnąć jej urodę,
topole w zielonym ogniu stają,
obłoki w zdziwieniu się zniżają,
otaczając ją zachwyconym korowodem.

Iż dopuściła mnie, by swoim kwietniom i majom
wolno było zbliżyć się przychylnym brodem.

Ta rzeka przeminęła i nigdy nie powróci,
te obłoki już dawno spłonęły na popiół,
ale jej głos wciąż słyszę na niezmiennej nucie,

jej wzrok w pożarze czasów się nie stopił;
wtedy wiedziałem: za chwilę znajdę się w ukropie
rzeki wrzącej, bo gdy raz jej piersi i ud dotknęła,
tak rzeźbiarz dotyka [marmurowego] arcydzieła,
wnet się zamienia w gorejącą kąpiel.

A ja, gdy wchodziła do rzeki, pozbyta szat,
byłem jako schwytyany mocną smyczą wiatr,
wędrujący pokornie przy jej stopie.

Zuzanno, z tej rzeki nigdy nie wypłyniesz,
na zawsze utonęły w niej twoje lilie i róże.
Na tej łące w tamtej dolinie,
nie tylko mnie twój widok urzekł –
drzewa pokrywały się kwiatem,
powietrze nasycalo się najwspanialszym aromatem,
kładły się u twych stóp ucichłe burze,
a obłoki – coraz bardziej skrzydlate.

Te wszystkie cudy twoje ciało sprawiło,
które miało być skazane na nieustającą miłość,
a zostało skazane na zatrąę.

Dzisiaj mi się przyśniło, co się wondrous zdarzyło,
przed wiekami, niepowtarzalnym latem.

Zuzanno, to nieprawda, że cię zamordowano!
Nadal wychodzisz kąpać się w każde srebrne rano,
zanurzasz w nurcie znojne narcyzy i lilie,
zanim uniosą cię w noc wołyńską,
słowikami rozśpiewaną,
i jak szklenicę miodu wychylę...

To nieprawda, co mi o twoim zgonie naopowiadano –
że żyjesz,
pozwól uwierzyć choć przez jedną chwilę!

A nad Horyniem wciąż pachnie świętojańskie siano
i księżyc na nowiu znów grozi
tęsknotą zatruty sztylet.

Zuzanno, nieżyjąca panno żydowska,
ten wiersz pod twoje ukamienowane nogi.
Nie żałuj niczego, ani się troskaj –
Zuzanno,
jużes zamieszkała w krainie złotej mitologii.

Zuzanna w kąpeli

N14, k. 1–2 r. Wiersz po niewielkich modyfikacjach został opublikowany
w tomie *Pamięci Sulamity* (s. 22–23).

[Gdym ją zobaczył po raz pierwszy...]

Gdym ją zobaczył po raz pierwszy,
miała szesnaście lat.
Z jej nieudolnych jeszcze wierszy
wyłaniał się tajemniczy świat,
który zdawał się być ze świętkami w znowie,
choć nieraz się upodabniał sennym śnicom [?]...

Opowiadała mi, że się urodziła w Kijowie,
więc na pewno była czarownicą.
Bo tam istnieje pieczara,
w której mieszkał scytyjski dragon.
I ten dragon pilnie się starał,
aby panny, co rodziły się nago,
stawały się w późniejszym wieku wiedźmami...
A tak podstępem, szatańską odwagą
niejedną kijowiankę omamił.

Potem dosiadały głupich seminarzystów,
choć niejeden ich władzę omijał,
i cwałowały na nich wśród pohukiwań i świstu
do władztwa straszliwego Wija.

Więc była o kijowiankach gadka oczywista,
ze z nich każda jest gładka jak żmija.

Ale ty, choć urodzona w smoczym grodzie,
miałaś język wezbrany słodyczą, a nie struty.

I byłaś

– każdy, kto cię znał, ze mną się zgodzi –
jak gdyby z marmuru wyprowadzona rzeźbiarskim dłutem...

Tak ognisty związek się rodził
wołyńskiego miodu z kroplą helleńskiej cykuty.
Więc na dalekich kozackich kresach
objawiała się ręka
starego Greczyna, Praksytelesa.

[*Gdym ją zobaczył po raz pierwszy...*]

N14, k. 2–3 r. Wiersz napisany prawdopodobnie podczas pracy nad tomem *Pamięci Sulamity*, pojawiają się w nim motywy, które znalazły się w różnych tekstach z tego zbioru (m.in. *Bajka o Żar-Ptaku*, *O Kijowiance*).

Wołyńska czarownica

Sulamita była bardzo wstydliva,
kazała się długo prosić, zanim...
Alem był pewien, że zbiorę te żniwa,
już dojrzałe, nim otoczyłem ją chciwymi ramionami:
winne grona ust, jabłka kolan,
pomarańcze piersi, ciężkim wezbrane sokiem...
A dyszała gorąco, jak zorana rola,
kiedy wchodzi w nią lemiesz głębokie.

Nauczyli mnie ptakowie dzicy,
jak się smakuje jagody w winnicy,
nauczyli mnie bracia-wilkowie,
iż tej nocy byłem z nimi w czulej znowie,
jak zalecać się do samotnej wilczycy,
a choć była czarownicą, urodzoną w Kijowie,
nie przestraszyłem się jej czarów,
schwytałem ją w wołyńskiej puszczy,
gdy szła wśród chojarów,
ty, księżycu, jak się stało, opowiedz!

Czarownice są niebezpieczne,
gdy wylatują na miotłach,
ale jeżeli którąś mocna ręka oplotła
i do posłuszeństwa zmusiła,
każdym ruchem, każdym gestem, każdym tętnem
stają się chętne i wniebowzięte,
byle tylko poczuły, iż prawdziwa siła.

Piękna wiedźma z Kijowa była pewna siebie,
ale gdy we włosy jej się wplątał księżyc srebrny grzebień,
a ja pomogłem, by się z jej włosów wplątał,
straciła moc swych czarów, więc ją zmusiłem,
by podzieliła ze mną zabawy, wielce miłe,
wołała mnie od czarta, więc miotłę odstawiła do kąta.

Mówiłem: Gdy twe dłonie mnie uchwycą,
jakże się cieszę, niebezpieczna czarownico,
żem ci miłszy od Belzebuba!
Odpowiadała: Z tobą o wiele mi milej,
bo się cieszysz, gdy me uda rozchylę,
iż ci jestem w każdą noc taka luba!
Więc mnożą się te ogniste chwile
i czyhająca na oboje zguba.

Obawiała się: Teraz się mną zachwycasz,
ale gdy poznasz, że jestem czarownica,
przepędzisz mnie którąś z katolickich anatem.

Nie zapominaj, żem Żydowica,
a ty jesteś chrześcijanin;
cóż z tego, że cię oplątam ramionami
i chwytam cię między moje uda skrzydlate –
Odpowiadałem: To nieważne, skąd i kim jesteś –
ważne, że każdym słowem i gestem
ogarniasz mnie radością i najwyższą rozkoszą.
Spójrz, oto księżyc wołyński – srebrne cudo –
a ja schodzę ku twoim biodrom i udom,
jak jelenie puszczańskie biegną ku żrałym łoszom.

Kiedym ciebie po raz pierwszy spojrzeniem ogarnął,
jużem wiedział: jesteś sarną,
która czeka na swego jelenia.
Tyś była tą sarną, która wśród leśnych znojów
dopuściła mnie do miłosnego wodopoju,
pamiętasz? – jakim ten źródł oceniał?
A jeżeli niedyskretnie zdradzę,

ileś miała lat, gdy uznałaś moją władzę,
cóż się zmieni w najdalszych konstelacjach?
Już byłaś jak w pannę zamieniony
najsmuklejszy modrzew,
już wiedziałaś, jak rozrzucić się szczodrze,
a więc miałaś najwyższą rację.
Teraz jakże mnie z dalekich stron pozdrowisz,
jeśli ci powiem, że gdybym mógł, jak Jowisz,
zamienić cię w piękną gwiazdę,
objawiającą się przed świtem,
to bym jej nadał w najwyższym zachwycie,
twoje przez zbrodniarzy przecięte życie:
biodra i piersi w smaku wyśmienite.
Nie żyjesz, ale już wiadomo, że należycie
cię uczciłem, już się stała poetyckim mitem.

Wołyńska czarownica

N12, k. 16–21 r. Wiersz napisany prawdopodobnie podczas pracy nad tomem *Pamięci Sulamity*, pojawiają się w nim motywy, które znalazły się w różnych tekstach z tego zbioru (m.in. *Bajka o Żar-Ptaku*, *O Kijowiance*).

[Gdyśmy się ocknęli...]

Gdyśmy się ocknęli – a przedtem
byliśmy w szczęścia najgórnějších strefach
i żaden niezręczny gest tego szczęścia nie skaził –
dyszac wprost w usta swym upalnym szeptem,
zapytała: Wytłumacz mi, czym się
Sefard różni od Aszkenazi?

Wiedziałem, że urodziła się nad Dnieprem,
gdzie piękne wiedźmy w biały dzień swobodnie chodzą,
więc jakaś część jej wróżebnego czaru,
złote biodra i ramiona srebrne
najpewniej pochodzą z królewskiego skarbu Chazarów.
Natomiast stopy, dłonie i piersi obie
(a także uśmiech, który przyciąga, zanim pogardzi)
mogły urodzić się raczej w Granadzie lub Kordobie,
czyli pod znojnym niebem krainy Sefardi.
Wysłuchany w jej łona rytmiczny krwiobieg,
przekonywałem się coraz bardziej:

że jest jak wezbrany mlekiem i miodem stepowy parów,
że jej brwi są jak łuki wyruszających na wojnę Chazarów,
że ziemia pod jej krokami wiruje od świtu do świtu,
że się w biodrach, jak Czarne Morze kołysze,
a wzrok, rzekomo niewinny,
to zbrojny opryszek
pochodzący równie dobrze
od Aszkenazich, jak od Sefardytów.

Kwieciste łąki, niespodziewane doliny –
spełnienie wszystkich legend i mitów.

Więc zapewniłem, że jest jako tęcza,
która spina Zachód ze Wschodem,
i że wszystkim gwiazdozbiорom zawdzięcza
swą niesamowitą urodę;
przeto żywioły wędrują ku niej na klęczkach
nieustającym korowodem.
Wędrują – sam tam byłem, więc chętnie zaręczam,
ku wrzącym źródłom jej ramion i bioder.

Nim poczęła się, w sojuszach, a nie w bitwach,
w zмовie miłosnej kształtowali ją bogowie
i raz jeszcze w mych ramionach rozkwitła
czarownica, urodzona w Kijowie.
Zuzanno,
jeszcze jeden wiersz na twój grobowiec.
Nie ma go na ziemi –
został wzniesiony w polskiej mowie.

[*Gdyśmy się ocknęli...*]

N12, k. 2–4 r. Wiersz napisany prawdopodobnie podczas pracy nad tomem *Pamięci Sulamity*, pojawiają się w nim motywy, które znalazły się w różnych tekstach z tego zbioru (m.in. *Na śmierć Sulamity*).

[Wiatr upalny w puszczy się rozsrożył...]

Wiatr upalny w puszczy się rozsrożył,
bo już wiedział, że w miłości był mniejszy,
przeglądał się coraz wierniej w cichej rzece.

A najmłodszy bożyc i najjurniejszy
jeszcze raz w srebrne biodra się wtulił.
Tak bogowie nieogłędnej młynareczce
krwią wezbraną kądziołeczką popsuli.

Ostrzegą ją matka i sąsiadki:
Nie chodź kąpać się przy księżycu pełni!

Zaoruje Wołyniak Beresteczko
i nie może zaorać w żaden sposób.

Świątki z lasu wychodzą – to zdarzenie nie rzadkie –
gdy spodobasz się, ich życzenie spełniesz.

Nie posłuchała.
Była coraz biała i różowa, jak trajanda
czuła się w nocnej wodzie i jedwabiściej.
Rozkwitała rezeda na lewadach
i szumiały srebrzyście wszystkie liście.

Usłyszeli bożyce, jak nurt ją ogarnia,
jak opływa jej uda i drażnięta.
Więc szeptali: Każdy z nas by zmarniał,
gdyby się w taką noc nie rozpętał.

Uciszyła się gęstwina gwarna,
jeszcze mocniej rozkwitła rezeda i mięta.

Gdy spłoszyła się i zamierzała uciec,
zapłatała się w komyszach, aż było za późno.
I choć dobiegło z oddali ciężkich młotów kucie,
płomień poszedł ku zbudzonym kuźniom.

Rozpłakała się słowiczo na najwyższej nucie,
myśląc: Może się o mnie poróżnią...
Nie poróżnili się – ciężką chucią zatruci.

Tylko księżyc jej żalów wysłuchał,
ale pomoc nie mógł i nie chciał.
Pierwszy bożyc miał uszy z obwisłego łopucha,
krótką chwilę jej trajandę łechtął,
tchem gorącym zmiażdżył jej usta,
grubym cielskiem długo się huśtał,
aż się wszystko w jej głowie pomyliło.

Pleban mawia: To pogańska rozpusta!
Ale oni jej szeptali, że miłość.

W tak noc tylko jedna jest władza...
Musiała bożycom wygadać,
podkładać drażnięta posłuszne
i biedne.
Księżyc zaszedł za chmurę, noc się stała, jak sadza,
wiatr się wtedy upalnie zapamiętał,
brudził księżyc i noc była znów srebrna i modra.

[*Wiatr upalny w puszczy się rozsrożył...*]

N13, k. 39 v. Tekst po modyfikacjach został opublikowany w tomie *Pamięci Sulamity* (s. 22–23) jako pierwsza część wiersza *Noc której nie było*.

[Munazara]

Czy to był ogród kwitnący, czy ispahański dywan, ogrodników i tkaczy,
sam Allah ich w pracy wyręczył.

Bajka nieistniejąca, więc tysiącrotnie prawdziwa,
most, co nad przepaścią wygina się łukiem tęczy.

Jeśli ogród, to pełny słowików i hurys,
tam słońce winogradami wszczepia się w znojną glebę.

A jeżeli dywan, to latający –
jak okręt srebrnopióry,
zakotwiczony na wicherze pod samym niebem.

Kimże ty jesteś? Motylem, co krąży wkoło świecy,
chce ją skrzydłami zgasić, nim sam się spali;
a gwiazdy – to przyjaciele bardzo dalecy,
chcieliby pomóc – lecz jak to uczynić z tak wielkiej
oddali?

Jesteś podczaszym. Uważaj, gdy wino czerpiesz,
abyś nie przelał przez brzeg, bo zginiesz w krwotoku.
Jesteś trzcina, rozdygotaną pod księżycowym
sierpem –
skazańcem, co na chwilę przystanął,
niepomny żelaznych oków.

[Munazara]

N1, k. 9 r. Pdr. po modyfikacjach: „Wiadomości” 1974, nr 11.

[Perska ojczyzna]

Jak na pielgrzymiej
lasce, na dawnych wesprzyj się czasach,
żeś urodził się przed tysiącleciem, wyznaj bez wstydu.
W wielu imionach znajdziesz to samo imię,
bo przecież twoim jest stary Chorasán
i smagły wicher Sasanidów.

Rozwija się ogonem pawim mitologiczna Szach-Nameh,
nad grobem Hafisa niebo w cyprysach szumi, Fachr ad-Din
ku naszej zabawie
na wdzięczny śpieszy traktament
i sam Nizami, i Omar, i Dżalaluddin Rumi.

Od Gulistanu bieżną na cienkich pęcinach źrebięta,
uciekły z perskich miniatur i zastygają w mozaikach.
I tyle róż, tyle gwiazd!
Któż by je wszystkie spamiętał..
Więc tylko wołasz: Poratuj! –
że cały kraj jest jak bajka.

[*Perska ojczyzna*]

N1, k. 9 r. Pdr. po modyfikacjach: „Wiadomości” 1974, nr 11.

[Sonety morskie]

II

Wiosła się wznoszą rytmicznie – to Argos
płyń, nie wiedząc jeszcze nic o złej Medei.
Gorący powiew gęstym miodem się klei,
jak płyn zatruty, podany żeglarskim wargom.

Żałosny lament cichym powietrzem targnął,
Thetis spłakana w gromadzie rzewnych Nereid,
iż syna uratować nie ma już nadziei,
fale i skały przybrzeżne porusza swą skargą.

Ichtiocentaur po morzu pomyka cwałem,
w jurnych ramionach schwytaną nimfę niosąc;
jej towarzyszki patrzą na gwałt struchlałe
i krzyczą, aż żwawe delfiny się płoszą...

Ich krzyk starannie do moich słów wplątałem,
dzieje owego dnia najwierniej głosząc...

Latu i słońcu należną oddajmy chwałę,
iż swych wyznawców tak wielką darzą rozkoszą.

[*Sonety morskie*]

NI, k. 19 r. Pdr. po modyfikacjach: „Wiadomości” 1975, nr 25.

[Mare nostrum]

I

Te wiersze dedykuję – młodszy krewniak –
moim starszym braciom i siostram...

W tych uczuciach rodzinnych mocniej się upewniam,
ile razy zobaczę *Mare Nostrum*.

Które ugięło się pod białoskrzydłą pławaczką,
niosącą pasterza Pryjamczyka;
które wtórzyło kartagińskim płaczkom,
gdym z dymu stosu Dydony w sinym niebie zniknął...

Syreno sycylijska, okrutna śpiewaczko,
zaczarowałaś na zawsze wędrownika!

Już wiozą do Iria Flavia
zwłoki Jakuba Zebedeusza;
już pod Lepanto nas wszystkich wybawia
flota śródziemnomorska,
napięta półkolem, jak kusze.

Wsparty na własnych grzechach i troskach,
tą samą drogą codziennie wyruszam.

[*Mare nostrum*]

N1, k. 19 v. Pierwsza część wiersza *Mare nostrum*. Pdr. po modyfikacjach:
„Wiadomości” 1974, nr 25.

[Pochwała Królestwa Aragonii]

Przeczytałem w starych kronikach: Był czas,
gdy wszystkie delfiny od Gebl-el-Tarik aż po Liban
miały na grzbiecie wryty
herb Aragonii...

Gdy żaden żagiel swych tropów nie chybiał
i spełniały się stare żeglarskie mity,
a Wenecja, Bizancjum i Nikozja
były na wyciągnięcie dłoni.

Pireneje były nie przeszkodą, pomostem –
trubadurzy chadzali ku katalońskim tawernom
równie łatwo, jak po Langwedocji –
ręce krzepkie i serca proste;
miłość szczerą i mistyczna wierność,
którą wicher gotyku wyzłocił.

Wczoraj, kiedy z nieba leciał żywy żar,
mgliste skały w nim się rozplływały,
złotym miodem ociekała Gandía,
grzęzły w piachu średniowieczne sandały –
już wiedziałem, to poeta, Ausiàs March,
co z powrotem
w wiek XV odchodził.

Wieczór był, jak podpalony ul –
pszczoły gwiazd obsiadły firmament
i spadały – spopielone główne –

z sykiem gasnąc w mroku, wytrawnym, jak wino.
Gdy usnąłem, usiadł przy mnie Ramon Llull,
oszołomił mnie i wprowadził w zamęt,
bijąc we mnie jakże wymownie
katalońskim,
arabszczyzną, łaciną...

Ale fale szumiały te same,
co dzień po dniu pod mym oknem płyną.

W znojných nocach kataloński Lewant,
wiatr omdlewa
i morze się nie gniewa.

Każdy kościół, jak przedwieczna mara!
Zamek osiadł na skalistych barach.
Głazy – ślady bitw minionych niespożyte!
Jak motyle konające żagle łodzi
i na niebie purpurowym wschodzi
księżyc, jak maurytańska brzytew.

Ekstacyjny i smutny przechodzień –
niech to będzie uboga ofiara,
podrzucona gestem słabej dłoni...
Ranek dawno oznajmił się przyplływem,
w siwy piach za falą wsiąka fala
i do rytmu ich melancholijnie pochwalam
wiecznie żywe
królestwo Aragonii!

[*Pochwała Królestwa Aragonii*]

N1, k. 13–15 v. Pdr. po drobnych modyfikacjach: „Wiadomości” 1975, nr 25.

[Poemat średniowieczny na Berceuszu wzorowany] (fragment)

Wołanie go naścigło, przeszło aż do wąpi,
już słońce słotę igłą karby żywota zszywa;
w trudnej pielgrzymce na kwietną łąkę wstąpił,
dobił do brzegu burzą strudzony pływak.

Teraz radośnie czuje, nurzając chciwe stopy,
one leluje i róże, fijołki i heliotropy,
z nich niby z srebrnych kadzielnic
szacowne wonie dymią –
widzisz, pielgrzymie śmiertelny:
tyle kwiatów, tle Jej świętych imion.

Tam ptakowie, uczeni i leśni;
a zbawieni, na wieczność,
wysławiają się –
każdy – w śpiewie zacnie kształcony
rzemieślnik, owe tryle, rulady
w czas najmilejszej biesiady
mową grzeczną, dobraną do pieśni.

[*Poemat średniowieczny na Berceuszu wzorowany*]

N1, k. 8 v. Trzecia część utworu *Poemat średniowieczny na Berceuszu wzorowany*. Pdr.: „Wiadomości” 1973, nr 38.

[Konie i oliwy]

Wynikł spór, a ze sporu zwada
– a bogowie w gniewie łatwo nie stygną –
kto z nich Attyką ma władać
i sam Zeus musiał rozstrzygnąć.

Orzekł Zeus, bo jest rozdawcą łaski,
i śmiertelnych nigdy nie miał w pogardzie:
Wygra ten, co swoim wynalazkiem
biednych ludzi uszczęśliwi bardziej.

Więc Posejdon stworzył konie i na wiatr
rozpuścił ich bujne ogony i grzywy,
zaś Pallada z ziemnych czeluści
wydobyła drzewo świętej oliwy.

Odtąd oliwki nie śmia nad morską otchłanią
pochylić się, bo Atenie tylko służą,
a konie Posejdona, obrażonego na nią,
tętnią gniewne ku wichrom i burzom.

Gajom oliwnym i koniom
wychodząc z ufnością naprzeciw,
wiedzą o tym tylko dzieci
i poeci.

[*Konie i oliwy*]

N1, k. 1 v. Fragment wiersza opublikowanego po modyfikacjach pod tytułem
Konie i oliwy. Pdr.: „Wiadomości” 1975, nr 25.

Na wzgórzach Kreta

I

To nie tylko dojrzewało w poetach,
nie tylko rośło, wyciągając dłonie po zwycięskie laury...
Po dziś dzień na *Mare Nostrum* istnieje wyspa Kreta,
kiedyś po niej buszowały minotaury.

Co dojrzewało owinięte pogrzebowym akantem,
spoczęło na zawsze w cmentarnej głuszy...
Był król Minos i jego brat Radamantys –
ich imiona pył historii już dawno przyprószył.

Ariadna uładziła się ze swym amantem,
nie bali się zemsty Minosa ani wymyślnych katuszy.

Zaczęło się od gniewu Posejdona.
Minos mu ofiarę z byka obiecał; dotrzymać nie miał chęci.
Posejdon sprawił, iż własna Minosa żona
przypięła mu rogi z rogami ozdobionym zwierzęciem.

Tak urodził się Minotaur.

Gdy Helios zalewał ziemię złotym potopem,
bo chciał, by podczas ślubu było goręcej i jaśniej,
bóg Zeus porwaną nimfę Europę
zaniósł na swoim grzbiecie na Kretę właśnie.

A gdy nimfa na twardym karku oparła stopę,
zaczęły się najdziwniejsze na świecie baśnie.

II

By świętym bykom umierało się sławniej i hardziej,
nie w krwawej rzeźni, och, świętokradcza ohyda –
na ziemi iberyjskiej (dla Hebrajczyków Sefardis)
wskrzyszono zwyczaj kreteński i nazwano go korridą.

Byki, które w innych krajach trwają w pogardzie ludzkiej,
tu giną godnie
i ich imiona nigdy w niepamięć nie idą.

Dla nich zwycięski marsz, oklaski i laur,
a śmierć każdego patrzące tłumy porusza,
gdy na nogach się słania i pada na piach Minotaur
przeszyty szpadą zmartwychpowstałego Tezeusza.

Odradza się mitologia, gdzie indziej nieporadna,
słysząc śpiewy rapsodów w powrotnych głosach
i cieszy się porzucona na wyspie Naksos Ariadna,
iż ją dotknęły wargi boskiego Dionizosa.

Raduje się cały świat, od Hadesu do Olimpu pował,
a *Mare Nostrum* na plażach uspiionych szumi,
dumne, że po jego falach Zeus cwałował,
choć to się nie mieści w nikczemnych ludzi rozumie.

I taka była z odległym czasem rozmowa,
w odradzających się bogów i bohaterów tłumie.

Na wzgórzach Krety

N19, k. 65 r, 67 r. Wiersz po niewielkich modyfikacjach został opublikowany
w tomie *Mare Nostrum* (Brooklyn, 1986), s. 39–40.

O Leukotei

Była kochającą matką, nazywała się Ino...
By kres położyć swoim obawom i troskom,
skoczyła ze skały razem z dzieckiem
i przykryła się morską głębiną,
uzyskując wraz ze śmiercią boskość.

Spodobała się topielica Nereidom,
nazwano nową boginkę Leukoteą...
Tak otwiera się droga najpiękniejszym legendom;
do nich fale łagodne się śmieją.

Gdy w burzy znajdziesz się, pozbawiony wszelkiej nadziei,
gdy maszt już jest złamany i ster w drzazgi pęka,
wymień imię pięknej Leukotei,
a wyniesie cię na brzeg jej wdzięczna ręka.

Niech gniewny bóg podnosi wody swym trójzębem,
abyś pomocy nie mógł wyglądać znikąd,
są jeszcze w *Mare Nostrum* takie głębie,
gdzie żyją stwory przychylnie śmiertelnikom.

O Leukotei

N19, k. 21 r. Wiersz po niewielkich modyfikacjach został opublikowany w tomie *Mare Nostrum* (Brooklyn, 1986), s. 46.

Sąd Parysa

Łodzi bukowa, wychowanico Idy wysokiej,
dokąd unosisz pasterza Pryjamczyka?
Czemu do Lacedemonu prowadzi swe kroki,
gdy Troja daleka we mgłach zatrutych znika?

Czemu bogowie wtrącają się do ludzkich losów
i wciągają śmiertelnych do swoich swarów?
Jabłko podarowane wznieciło larum stugłose
i uderzyło w muzy Ilionu skrzydłem pożaru.

Wyroków Olimpu żadna potęga nie zmieni
i nie zażegna czynów niesprawiedliwych, o, wstydzie!
Na samym wstępie się skupiły na biednej Ifigenii,
zanim znalazła schronienie w gościnnej Taurydzie.

Po co żeś sen pożywny w cieniu dębowym przerwał
i nieoględnie wzięłeś udział w niewieścim sporze,
poczem zemstę ci przysięgły Hera i Pallas, Minerwa,
czyś nie wiedział, czym jest gniew kobiety, gdy raz rozgorze?

Co ci przyrzekła piękna Cypryda, już żeś osiągnął,
aniś pomyślał wonczas, jaką tve miasto zapłaci cenę.
Teraz, gdy hufce achajskie pod mury ściągną,
jakże zdasz sprawę za urodziwą Helenę?

Czarne chmury się tłoczą na Hellespontu brzegach,
greczyńskich naw nie przeliczy niczyje oko;

wieszczym głosem Cassandra przed klęską przestrzega
i skona w splotach węża nieszczęsny Laokoon.

Hektora i Achillesa jeszcze przeżyjesz,
lecz nie unikniesz, przez Mojrę wyznaczonej, zguby,
i będą cię po zgonie szarpać sumienia źmije,
i dusić za gardło wycie osierocoonej Hekuby.

Lecz, gdy Ilionu gród zapadnie w popiół i w ciszę,
morze napłynie sprawiedliwe i słuszne jak zawsze,
i twój mit w nieśmiertelność wieczystą ukołysz,
Pontus, *Mare Nostrum* – niezmiennie i najłaskawsze.

Sąd Parysa

N19, k. 47 r, 49 r. Wiersz po niewielkich modyfikacjach został opublikowany
w tomie *Mare Nostrum* (Brooklyn, 1986), s. 43.

Śmierć Orfeusza

Orfeusz rozpacza po stracie Eurydyki
i aż do przepaści stygijskich zstępuje uparty,
jego pieśń porusza serca zwierzętom dzikim,
pocieszają go w udreće lwy i lamparty.

Nigdy dotąd pagóry i lasy Tracji
nie słyszały takich zawodzeń, więc nawet one
idą posłusznie za tym, co swoje szczęście utracił
i, aby je odzyskać, zapłaci straszliwym zgonem.

Który roztkliwił nawet okrutnego władcę piekieł,
którego wierze chrześcijan przekazał pogański antyk,
zginął, jak gdyby był zwyczajnym człowiekiem:
rozszarpały go ręce pijanych bachantek.

Że pieśń, która nie szuka próżnej chwały,
z poklasku nielicznych, więc najważniejszych, korzysta.
Z tych pól i wyżyn, które pilnie cię słuchały,
pozbieraj strzępy swego ciała i zmartwychwstań!

Do swej roztrzaskanej liry nasze udrećki przytul,
iż żyjemy w czasach, które wstręt budzą w każdym człowieku...
Właśnie dlatego poeta polski dał swojej księdze tytuł:
Orfeusz w piekle dwudziestego wieku.

Wstań z martwych i nad naszymi jękami się ulituj,
błagamy cię, byś je na pieśń zwycięstwa przekuł!

Bachantki by ci dzisiaj nie groziły.
Są władcy gorsi od stygijskiego tyrana,
Eurydykę zawładnęły o wiele potężniejsze siły
i twoja pieśń rozpaczliwa została zakazana.

Śmierć Orfeusza

N19, k. 39 r. Wiersz po niewielkich modyfikacjach został opublikowany w tomie
Mare Nostrum (Brooklyn, 1986), s. 48.

Upadek Troi

„Przecz – ze mnie, srogi Apollo, trapisz?” – wołała córka Pryjama;
wszyscy słuchali i brali ją za szaloną.

Aż tu woje achajscy stanęli w otwartych bramach
i budzą się śpiący w domach, gdy te już płoną.

Przekonaliście się nierozumni: Laokoon nie kłamał...

A należało zaufać Kassandrom i Laokoonom!

Próżno Hektora zatrzymywała płacząca Andromacha,
aż pocałunek bohatera jej usta oniemił.

Przed wyjściem na bój z Achillem ani chwili się nie wahał,
choć już siebie widział zamiatającego głową po ziemi.

Nie, nie wierzone wieszczom, ani kapłanom,
aż ogarnęły ich płomienie, a później ciemność.

Apollo-ludobójca nad miastem przystanął
i pławili się we krwi Ajaks, Menelaj i Agamemnon.

Które oglądały swych mężów i synów zgubę,
bezbronne branki, w niewolę wleczone za włosy –
krwawy żołdak wziął do posług starą Hekubę,
szła za nim i gonił ją wrzask mordowanych stugłosa.

Kassandrę bluźnierca sprzed ołtarza porwał,
opuszczona przez Apollina, już była głucha i niema,
Andromacha nowemu panu musi otwierać biodra,
by sycić conocne żądze Neoptolema.

Jedna Helena, chociaż tej klęski winowajczyni,
uratowała się: w jarzmo jej nie wiodą;
Menelaos chciał ją zabić, lecz tego nie uczynił,
rozbroiła go czasem nienaruszoną urodą.

A Morze Egejskie pluszcze na złotych plażach,
co mu tam ludzka krew i wojen postrach,
choć od wieków pożar Ilionu jego fale zajarza
i epopeja o nim opowiada – najmilsza siostra.

Blask tego pożaru ponownie na naszych twarzach
i łódź Homerycka płynie przez *Mare Nostrum*.

Upadek Troi

N19, k. 59 r, 61 r. Wiersz po niewielkich modyfikacjach został opublikowany
w tomie *Mare Nostrum* (Brooklyn, 1986), s. 45.

Via Lactea

Tą Mleczną Drogą, co ponad nami płynie
i co noc, gdy pogoda, odnawia się na nowo,
Czumackim Traktem nazywają w Ukrainie,
a w Hiszpanii – Drogą Jakubową.

Rosyjscy mnisi wymyślili, że święty Mikołaj
niósł mleko w garnuszku, by nakarmić Gwiazdę Polarną,
potknął się, równowagi utrzymać nie zdołał
i mleko po całym niebie rozgarnął.

Ale prawda jest jedna: ten mleczny szlak zamglony,
co opiera się, jak tęcza, na niebiańskich kresach,
to mleko, co wytrysło z piersi Junony,
gdy, niebaczna, karmiła małego Herkulesa.

Jednak, widać, nieźle się odżywił,
skoro później było go stać na tyle śmiałych czynów...
Którzyście mitologii nie krzywi,
dorzućcie mu choćby niewielki liść wawrzynu!

Gdy zadzieracie swe głowy do góry, o, śmiertelni!
By sprawdzić, czy wciąż dzieje się sprawa odwieczna,
patrzcie, wy od pługą, od pióra i kielni,
jak błogosławi wam ta sama Droga Mleczna.

Via Lactea

N19, k. 25 r. Wiersz po niewielkich modyfikacjach został opublikowany w tomie
Mare Nostrum (Brooklyn, 1986), s. 47.

Proroctwo

Jakże nie ustać, jakże dotrzymać latom kroku,
latom, co oszalały, szalejem zatrute?
Biegną tłumy śladami fałszywych proroków,
wrzaskliwe trąby także na fałszywą nutę
grają, składając hołd szulerom i oszustom.
Gnieździ się w naszych sercach nuda
i przeraźliwy smutek,
czas by do świątyń chronić się..
Ale w świątyniach pusto.
Gdy honor się wymienia już nie na złoto – na naftę,
gdy rzymski wikary wita Atyllę czułym bruderszaftem
i klucze świętego Piotra w Tybrze topi,
kogo mają zwoływać rozesłane wici,
gdy skoro żołnierze – ślepi, głusi lub upici
i zapomnieli już którądy do Termopil?!

Proroctwo

N6, k. 48 v. Po niewielkich modyfikacjach wiersz został opublikowany w *Dwie książki* (Paryż, 1984), s. 44.

Klątwa

Kto się w opiekę podał Panu swemu
i całym sercem szczerze ufa Jemu,
tego Pan swym aniołom zaleca –
a was, bałwochwalców, za głupotę i zuchwałość
starozakonnym zwyczajem wykląć by należało,
przy czarnych świecach.
Wiedźcie: nadejdzie od wschodu bezlitosny Abaddon,
na czele hułców Goga i Magoga,
wpędzi na pole bitwy, które się zwie Harmagedon.
Za dnia nastanie ciemność, a w nocy – bladość.
Zaraza rozpanoszy się na wszystkich drogach,
i przyjdzie grad i deszcz, i mucha,
i głód ku waszym schodom.

Spadnie szarańcza i chrząszcz bez liczby –
i pożre wasze plony,
i będzie szalał wszystek lud, jak nawiedzony,
nie widząc, że już wróg stanął w miasta bramach.
A nawet jeśli ockną się co odważniejsi męże,
za późno, by zastawić się sprawnym orężem,
bo duch wam osłabł i oręż się złamał.

I żeście klaskali dłońmi i tupali
nogami w uciesze,
gdy ginęły ludy prawowierne,
ku każdej waszej stronie
nadleci, pióra rozpuściwszy, czerwony kogut;

rozleje się zagłada od morza szerzej,
rozwali Anioł Zemsty miejskie mury i wieże –
i będą pobite wasze córki na każdym progu.
Nie słuchacie, gdy do was zwraca się mowa boża,
bo spać aż do południa wolicie w swoich łóżach,
zamiast na murach zagrożonych trzymać czujną wartę.
Kto blisko jest, od miecza padnie.
Kto daleko jest, umrze od pomoru.
Kto się ostanie i będzie oblężon, zginie głodem.
Boście zamykali grzeszne ślepia na wroga zapadnie,
boście uwierzyli w gadkę kłamliwych znachorów
i tańczyliście, nierządnicy, przed oszukiwanym narodem.
Wtargnie zwierzę, które Ezechiel widział nad rzeką Chaber,
podniosą się płyty kamienne na starych grobach,
by miejsce uczynić dla żywych.
Spróbujecie powrócić do opustoszałych świątyń,
lecz drogi nie znajdziecie, bo je wróg poplątał –
i tak wypełni się gniew Pana sprawiedliwy.

Kłątwa

N6, k. 35–36 v, 36 r. Po niewielkich modyfikacjach wiersz został opublikowany w *Dwie książki* (Paryż, 1984), s. 44.

W rocznicę rewolucji

Krwawy sztandar zarazy
w same serce globu się wwiercił,
groby zarosły trawą,
nad opustoszałymi katedrami coraz chmurniej;
świętują swoje rocznicę złodzieje i mordercy.
I słyhać wrzawę w Europie,
to oklaskują ich syte durnie.

Już rozjuszył się, już rozwielił, rozchamił
wrzask tryumfalny z wszystkich głośników,
już z trąb mosiężnych hymn zbrodniczy wybuchnął..
Idą – obwieszeni orderami,
przytupują butami w karnym szyku –
dziś zaraza, a jutro próchno!

A jak się to zdarzyło, jak się zaczęło?
Wystrzały w piwnicach brzmiały głucho
i leciał z nieba rozżarzony popiół..
Wtedy zrodziło się zatrute arcydzieło –
niemieckie piwo zmieszane z moskiewską siwuchą:
„Dajesz Arszawu, dajesz Jewropu!”

Kur na dachach zatańczył czerwony,
objawiły się wszystkie ukryte demony,
chłop wykopał siekierę Pugaczowa;
za więzienia, za szafoty, za szpicruty
przyszedł czas straszliwej pokuty.
Trzeci Rzym takiej zemsty się dochował!

W rocznicę rewolucji

N6, k. 49–50 v. Po niewielkich modyfikacjach wiersz został opublikowany w *Dwie książki* (Paryż, 1984), s. 38.

[Bój pod Wizną]

Opowiedzieć wszystkim obcym ojczyznom
o nieznanym im dniach polskiego września,
o nieśmiertelnym boju pod Wizną
dotąd niewiecznionym –
w legendach ani w pieśniach.

Niebo nad mogiłami czerwoną łuną zwisa,
przechodniu, gdy cię kto o nich zapyta,
mów: tędy wciąż przechodzą dumne cienie
Wilanda i Raginisa,
Brykalskiego i Szmidta,
by ich przechować wspomnienie –
aby grobów nie pokryło zapomnienie.

Jeszcze żyją okoliczni chłopci
przekazujący tamte dni przyszłym latom,
świadkowie jeszcze jednych polskich Termopil,
po których żaden nie przyszedł Maraton.

Ziemia otwiera się szerzej
na przyjęcie żołnierskich zwłok –
ostateczne i najświętsze przymierze.

Gdybyś tam wtedy był, tobyś odzyskał wzrok,
stary Homerze!

Tylko jeden z nich, ciężko poraniony,
nie oglądał kapitulacji.
Wszyscy myśleli: kapitan Schmidt także nie żyje.
Wyżył. Jest polskim emigrantem w Londynie.
Na wieki z bojem pod Wizną związane jego imię.

Widziano.

Pod nawałą artyleryjską,
jakby wiek heroiczny na chwilę przystanął
nad małą chłopską dziewczynką,
co rozpałała przy miedzy ognisko,
by dla żołnierzy
upiec ziemniaki w popiele.

Pragnę wyjaśnić, dlaczego ten wiersz poświęciłem pamięci Jana Bocińskiego. O Wiźnie słyszałem po raz pierwszy zaraz po wrześniu, ale bardzo ogólnie i niedokładnie. Kilka lat temu – dokładnej daty nie pamiętam – śp. Jan Bociński, z którym byłem w przyjaźni, zwrócił się do mnie z lekką pretensją, że nie napisałem wiersza poświęconego bohaterom spod Wizny. „Prawie nikt na emigracji – mówił z goryczą – nie wie nic o tej wspaniałej bitwie, choć na co dzień ocieramy się o jedyne go oficera, który, ciężko ranny, ocalał. Nawet poeci milczą o kapitanie Raginisie, Schmidcie i innych!“. Podał mi szczegóły. Wielokrotnie siadałem do maszyny, ale za każdym razem nie potrafiłem wyjść poza kilka wersów. Bociński nie żyje. Uważałem za obowiązek poświęcenie wiersza jego pamięci. Jestem pewny, że kapitan Schmidt, o którym Janek zawsze mi mówił z najwyższym nabożeństwem („w oczach biegają mu błyski, gdy wspomina swoich żołnierzy, którzy poszli za nim w beznadziejnej sytuacji do ataku na bagnety...“) uzna ten mój niestety spóźniony gest za słuszny.

[*Bój pod Wizną*]

N14, k. 5 v, 28–29 v. Jest to brulionowy fragment wiersza *Bój pod Wizną* (oraz szkic autokomentarza do tego utworu), który ukazał się we wrześniu 1980 roku w „Orle Białym” (nr 193), a potem w tomie *Dwie książki* (1984, s. 31–34).

[Nie było...]

nie było
apostazji
bo nie było
wiary – było
przelotne złudzenie

[*Nie było...*]
N16, k. 13 v.

Dedykacja

Tym, co uznają wyłącznie poezję czystą,
laborantom, alchemikom, jubilerom,
czarusiom awangardzistom,
czytać tych dytyrambów nie radzę;
bo rozłożyły się wojującym obozem,
krzyczą ze szpalt nieprzystojnie,
raz po raz przechodzą w prozę,
choć wiersz ciągle ma nad nimi władzę,
szorstkie, chropawe, jeżeli potrzeba – chamskie!
To chłopski gorzki bimber, nie złociste wina szampańskie,
które lokaje podają sprzedajnym dyplomatom,
a jeżeli kogoś trzeba twardym słowem namaścić,
upuścić, strzelić w pysk i zawołać: wciórności –
to i na to lecę, jak na lato!
Powiecie: gdy słowo, jak źrebiec zziajany,
i rży, i parska,
że to rzecz nie poetycka, lecz dziennikarska.
Tak, to wiersze namiętne, nieprzejednane,
nie z tych, co wykręcą się sianem
i nakładają na trwożne dłonie rękawiczki.
A jeżeli rękawice, owszem, ale bokserskie,
a na robactwo – ukrop, nie proszki perskie,
tylko tak wiersze męskim rytmem krzepią.
A któremu spadają ze strachu portki bez szelek,
tego za ożydle, a potem za obertelek,
i wykopać z izby, i za próg wyciepnąć!
Więc dedykuję te wiersze tym, co jeszcze

nie chowają się pod parasolem przed deszczem,
lecz gotowi są wyjść z bagnetem na broni,
tym, co mięśnie mają nieosłabłe
i nie chcą, choć ich namawiają,
paktować z diabłem –
rym nie umknie poetyckiej dłoni.

Dedykacja

N6, k. 42–45 v, 42–43 r. Po modyfikacjach wiersz został opublikowany w zbiorze *Dwie książki* (Paryż, 1984), s. 36.

Zachodnim intelektualistom

Wy, tłuste szczury z burżuazyjnych ścieków,
pokojowe pudle, paradujące w czerwonych kokardach,
rewolucjoniści od siedmiu boleści!
Deklamujecie ciągle o człowieku,
a obchodzi Was tylko waluta, jeśli twarda,
tchórze bez wstydu i cześci!

Gdzieście byli, coście zrobili, gdy rozstrzeliwano Gumilowa,
gdy obłąkany Mandelsztam zdychał w syberyjskim łańnie,
gdy Annę Achmatową
umundurowany cham przyrównywał do nierządnic?
Nawet do podtarcia tyłka nie nadają się wasze słowa,
każdy z was zdrajca, gdy na papierze bazgrze,
morderców dobrowolni wspólnicy!

Co reprezentujecie, geniusze? Talenty do kantów,
odziedziczyliście po Rzymie jedynie *carpe diem*,
i obyczaje późnych wieków sprzedajne.
Akademio szanowna kapitulantów,
w chwili próby pójdziecie z chciwym ryjem
po raz ostatni pożywić się łańnem!
Potem się zobaczy.
Tyle po was zostanie, co parszywy kot napłakał,
padlina, nienadająca się nawet do żeru,
ogniki błędne, którymi szatan na bagnach kręci!
Kapłani, przed kremlem łażący na czworakach,
salonowcy, zgrywający się na Robespierre'ów,
masturbanci, nekrofile, impotenci!

Wam, utrzymankom, rogaczom, klempom!
Oblanym zimnym potem, trzęsącym się z niepokoju,
pracowicie rozprawdzającym morowe powietrze...
Którym się słowo postępek rymuje z ustępem,
gzijcie się jeszcze, jak muchy na kupie gnoju,
nim palec gniewu z oblicza ziemi was zetrze!

Czy Sodoma i Gomora zna sprawiedliwych?
Niewielu!
Na każdego z nich przypadają tysiące psubratów,
jeśliś ostrowidzem, każdego na pamięć znasz...
Wierzyński, przeto nieżyjący przyjacielu,
powtarzam, coś mówił nikczemnemu światu:
Pokażcie mi go, niech plunę mu w twarz!

Zachodnim intelektualistom

N6, k. 38–39 v. Po modyfikacjach wiersz został opublikowany pod tytułem
Intelektualistom zachodnim w zbiorze *Dwie książki* (Paryż, 1984), s. 46.

Cztery fraszki na mówcę

1

Adam Ciołkosz przemawia.
Krew się w żyłach ścina!
Co Adam skończy mówić, to
Ciołkosz zaczyna*.

2

Byłby mówca wybornym, bo w śpiewie
w ton słowiczy, skowrończy...
Wie zawsze, kiedy zacząć,
jak nigdy nie wie, kiedy skończyć.

3

Podpisuję się pod tą
opinią rękoma obiema!
To mówca oryginalny:
zawsze mówi nie na temat!

4

Niech nikt się rzeczywistości nie wstydzi,
trzeba przyjąć za fakt prawdę oczywistą:
gdyby pan Adam miał inteligencję pani Lidii,
byłby prawdziwym intelektualistą.
A Polacy średniowieczni powiedzieliby: Isto.

Cztery fraszki na mówcę

N6, k. 8 r, 8–9 v. Pierwotny tytuł: *Cztery fraszki na Ciołkosza*.

* Parafraza ze Słowackiego (patrz *Mazepa*). (przypis J.Ł.)

Na Janusza Kowalewskiego

Widząc, że mam nogawki u dołu postrzępione,
ktoś mi powiedział współczującym tonem:
Pewnie, jak to się zdarza spóźnionym przechodniom,
opadły cię po nocy głupie pieski...
Odparłem: Nie! To tylko skoczył ku moim spodniom
towarzysz Janusz Kowalewski.

Na Janusza Kowalewskiego
N6, k. 7 r.

[Ktoś wskazał na cały wzrost – niezmierny...]

Ktoś wskazał na cały wzrost – niezmierny.
A ty do ziemi przyłgnij i posłuchał:
będzie
nie dni, lecz noce – tak, jak pierwej!
Mrokiem
i świat przywalił zaduchem.

Ktoś zajął się płomieniem, ale ścichł.
I wszystkie rzeki z brzegów wystąpiły.
I ziemia już wiedziała: Będzie wicher!
Ktoś czernią i czerwienią barwy zmylił.

[*Ktoś wskazał na cały wzrost – niezmierny...*]
N13, k. 16.

Jewszan – ziele

I tchem cudnym powiało – jakby obca
dziedzina...

O, nie! To już
i mięta, i stokrocie, i ziemia Wołynia.

Jewszan – ziele [II]

Tchem cudnym powiało,
O, nie!
I mięta, i stokrocie, i skiby Wołynia.

Jewszan – ziele, Jewszan – ziele (II)
N13, k. 15–16 v.

[Tylko ty mi, zmarły ojcze, nie mów...]

Tylko ty mi, zmarły ojcze, nie mów
żem z wichrami życia nie wydażył –
w zawierusze i kłęsce
tylko temu własnemu
byłem żołnierz i wódz i chorąży.

I jeszcze PRZYCZYNKI do ŻYCIORYSU.

Bez przyjaciół, bez broni w lepkiej
glinie dróg
jakże iść naprzeciw błyskom miecza?
Każdy z nas tyle widział,
ile widział i mógł,
że zwycięskiej przemocy zaprzecza.

Rozszarpany, rozrzucony po pustkach i
piargach –
czarna rozpacz i gniew, i nienawiść,
i w krztuszącej się piersi
kołuje jak skarga
głośny jęk zabłąkanych żurawi.

[*Tylko ty mi, zmarły ojcze, nie mów...*]
N15, k. 27 v.

Szkic wiersza

1) wiersz: kiedy chciałbym się
urodzić – nie ma dla mnie miejsca
w XX wieku – na współczesnym świecie.

2) Powinno być inaczej, dom, ogród,
pies przed kominkiem i: wierzchowiec.

3) Starość – śmierć – niemożność poprawienia przeszłości

Szkic wiersza
N13, k. 2 v.

PROZA

Mój kolega Nowikow

Będzie to część mego dzieciństwa, a więc tym samym kawałek autobiografii. Nie o to przecież chodzi. To w pewnym sensie tylko kanwa, pretekst, okazja do kilku uwag, które uważam za istotne i ważne. Ale najpierw – trzeba poinformować czytelników, kto to był ten mój kolega Nowikow, gdzie i kiedy zawarłem z nim koleżeństwo.

Zawierucha pierwszej wojny światowej zaniósła moją matkę wraz z dziećmi (dwie starsze ode mnie siostry i ja) najpierw do Moskwy, następnie, gdy po rewolucji lutowej, czyli za Kiereńszczyzny, w białokamiennej stolicy zaczął się skrajny niedostatek, do Jejska nad morzem Azowskim, w kraju Kozaków kubańskich. Ojciec był jeszcze na froncie. Po otrzymaniu listu od znajomych, którzy wyjechali z Moskwy wcześniej („tu wszystko jak przed wojną, ziemia mlekiem i miodem płynąca”), matka nie wahała się ani chwili i po kilkudniowej podróży – koleje już funkcjonowały fatalnie – wyładowaliśmy się na małej stacyjce w stepie; od miasta dzieliły ją jakieś dwa–trzy kilometry. Wtedy to po raz pierwszy w życiu zobaczyłem azjatyckie, dwugarbne wielbłądy. Spokojne, flegmatyczne bydlaki w niczym naszych emigracyjnych garbusów nie przypominają.

Na wiosnę 1919 roku zdałem egzamin do I klasy miejscowego gimnazjum. Nie obeszło się przy okazji bez zabawnej wpadki. Arytmetyka poszła gładko (któż by przypuszczał!), na liczydłach trzaskałem jak stary buchalter, tekst starocerkiewny przetłumaczyłem bezbłędnie. Została już tylko *słowiesnost'*, tj. język rosyjski (z religii, jako rzymski katolik, nie zdawałem). Dano mi do przeczytania list niańki Aleksandra Puszkina, unieśmiertelnionej przez poetę, Ariny Rodionowny. Potem kazano mi odłożyć tekst i opowiedzieć jego treść własnymi słowami. Śpiewałem jak nieboszczyk Caruso, aż nagle tu przerwał mi wybuch huraganowego

śmiechu. Zgłupiałem. Śmiał się dyrektor i wicedyrektor, śmiali się profesorowie, brodaty pop bił się dłońmi po brzuchu i mało nie zleciał z fotela.

Wreszcie połąpałem się, o co chodzi. Arina Rodionowna pisała do Puszkina, że na jego intencję zamówiła mszę (m o l e b i e n), a ja rąbnałem, że zamówiła panichidę (mszę żałobną). Gdy dostojne ciało pedagogiczne nieco uspokoiło się, pop huknął na całą salę potężnym basem: „Nic dziwnego, że nie odróżnia panichidy od molebna, przecież to *rimskij katolik!*”. Mimo tego potknięcia się egzamin zdałem na samych piątkach. Tu zaraz zjawi się kolega Nowikow.

Towarzystwo w klasie było międzynarodowe. Przeważali Rosjanie, ale mniejszości (*inorodcy*) były licznie reprezentowane. Więc paru Ormian, jakiś Tatar, jeden Grek, jeden Czerkies, paru synów Kozaków kubańskich, wreszcie ja. W bijatykach na pięści (czasem na kije i kamienie, bo czasy były ostre) tworzyliśmy zgraną gromadkę, której przewodził osiłek w osobie Ormianina Ałtunjanca.

Jako się już rzekło, międzynarodowa mniejszość ciągle bijąca się z rosyjską większością. Mimo pewnej dysproporcji sił wyniki bywały różne. Przewaga liczebna nie zawsze zwycięża. Wspomniany Ałtunjanc niejednokrotnie przechylał szalę na naszą korzyść. Gdyby Sienkiewicz go widywał, napisałby zapewne, że „spadał na gromadę wroga jak jastrząb na stado przepiórek”. Czerkies był najzwinniejszy. Co do mnie, nie należałem do osiłków, ale nadrabiałem zajadłością. No, więc cóż... mieliśmy swoje Cecory, ale także Grunwaldy, Chocimie i Wiednie.

Inspektor ubrdał sobie, że to ja jestem głównym hersztem oraz inicjatorem (*głównyj zacyzyszczyk*) owych zapasów i koniecznie chciał moją rzekomą winę udowodnić. Nie było łatwo. Rosyjskie chłopaki mogły mnie i innych *inorodców* nie znosić, ale obowiązywał pewien kodeks rycerski: nie wolno skarżyć. Napaść we dwóch albo trzech na jednego, owszem, to się zdarzało, ale udowodnione oskarżenie o skarżypęctwo przynosiło ostateczną hańbę i dyskwalifikację honorową. Kiedy podczas jednej z najbardziej zażartych walk Ałtunjanc wybił dwa zęby temuż Nowikowowi, ten wzięty na spytki przez inspektora oświadczył: „Nikt mnie nie uderzył; sam się przewróciłem się i sam uderzyłem się o próg”. Inspektor, naturalnie, widział, że chłopak kłamie, ale również zdawał sobie sprawę, że żadne nalegania czy naciski nie odniosą żadnego skutku.

Tak więc od tej strony inspektor nie mógł mnie ugryźć. Sam Nowikow patrzył na mnie zezem, by nie ulegało wątpliwości, że chętnie by mnie utopił w łyżce wody, ale nie było ani wody, ani łyżki, zaś honor

uczniowski nie pozwalał mu zostać skarżypytą. Jednak inspektor nie dawał za wygraną. Na pierwszą gimnazjalną wywiadówkę moja matka przyszła mocno zakatarzona. „Ach, widocznie szanownej Pani – facet udawał niesłuchanie przejętego – nasz rosyjski klimat nie odpowiada. W Warszawie klimat łagodniejszy, prawda?”. „Odpowiada, czy nie – odparła spokojnie moja matka – ale dlaczego pan tutejszy klimat nazywa rosyjskim? Tu przecież Północny Kaukaz, a nie Rosja. Więc?”.

Z miejsca zaczęła się bezpardonowa walka o godność prymusa. Kandydatów było dwóch – właśnie Nowikow i Łobodowski (figurowałem pod nazwiskiem z rosyjską końcówką). Szliśmy we wszystkim łeb w łeb, może Nowikow trochę wyprzedzał mnie w niemieckim, ale za to triumfowałem w klasówkach z rosyjskiego.

– *Stydno, gospoda* – karcił profesor Iwan Daniłowicz – *jedinstwiennyj w kłlasie Polak, a piszet uprażnienija łuczsze wsiech Ruskich!* (Wstyd, panowie, jedyny w klasie Polak, a pisze wypracowania lepiej od wszystkich Rosjan!). Nowikow zbierał zazwyczaj czwórki, od wielkiego dzwonu – piątki. A ja zawsze miałem celująco, niekiedy nawet z plusem.

I tu zaczęła się kołomyjka urażonej dumy narodowej. Jak to Polak ma być pierwszym uczniem, lepszym od wszystkich Rosjan?! Niedopuszczalne! Muszę oddać sprawiedliwość ogromnej większości profesorów: albo mnie wyróżniali, albo zachowywali się neutralnie, za tym poprawnie. Tak samo, z pewnymi zastrzeżeniami, dyrektor. Natomiast inspektor postawił sobie za punkt honoru, żeby Nowikowa wysunąć na pierwsze miejsce, a mnie pognębić. Zakładam, że znaczna większość czytelników nie orientuje się, kto to był inspektor w rosyjskich gimnazjach tamtych czasów, jakie miał znaczenie, jaką rolę odgrywał. Otóż inspektor to był jakby minister spraw wewnętrznych. Dyrektor dbał, pilnował poziomu nauczania, inspektor był od pilnowania zachowania się uczniów, ich punktualności, czystości, higieny i zdyscyplinowania. Jeżeli uczeń coś przeskrobał, jurysdykcja należała do inspektora, nie do dyrektora. Powiedzmy, że któryś pętał się po dużej przerwie (pauzie) z podbitym okiem (właśnie podczas owej pauzy odbywały się na podwórku gimnazjalnych zaciekle boje homeryckie); wtedy *kłlasnyj nastolatiel* (opiekun klasowy) miał obowiązek zameldowania o tym inspektorowi, który następnie prowadził śledztwo i wymierzał kary.

Zdarzyło się, że nauczycielka historii zachorowała i przez parę tygodni inspektor ją zastępował. Teraz dopiero miał używanie! Nie obchodził go program, który obejmował wczesne dzieje Rusi Kijowskiej

i Nowogrodzkiej, nie rozszerzał naszej wiedzy o świętej Oldze i jej synu, świętym Włodzimierzu, o wcześniejszym Igorze i Olegu („*Kak [-] wiesz- czyj Oleg, otmistit nierozumnym Chazarom...*”), ani, ani... Z całym spokojem przeskoczył prosto w wiek XVII.

I nie bez kozery. Bo to był jegomość opanowany obsesją antypolską, wynikłą z niewiadomego urazu. Gdybym w owym oddalonym roku 1919 był dorosłym człowiekiem, zapewne rozszyfrowałbym go bez trudu, ale cóż mógł wiedzieć szczeniak z pierwszej klasy gimnazjalnej! Dość, że pan inspektor opowiadał nam, wtrącając jadowite uwagi o tym, jak Polacy nasłali na Moskwę Łże-Dymitra razem z „chytrą Laszką”, Maryną Mniszchówną; jak następnie próbowali na carskim tronie posadzić królewicza Władysława, jak rabowali ludność i znęcali się nad nią, aż wreszcie zostali rozgromieni przez wojska księcia Pożarskiego i kupca Minina, którego wspaniały pomnik można oglądać na jednym z moskiewskich placów.

„Teraz – dodawał – chełpliwi [„*kiczliwyja*”?] Polackowie znowu podnoszą zbrodniczą rękę na świętą Rosję. Ale to nie szkodzi: gdy skończymy z bolszewikami, skończy się także ich *Rieczpospolitaja*; dwie–trzy sotnie Kozaków w zupełności wystarczą, by zlikwidować tych pyszałkowatych panków!”. Wygłaszając te bzdury, przyglądał mi się z lubością, licząc najwidoczniej, że mnie sprowokuje, a potem odpowiednio moją reakcją wykorzysta. W specjalnie złośliwy sposób traktował hetmana Żółkiewskiego, do którego czuł wyjątkową aurę. Z oburzeniem opowiadał, że podstępny *gietman* ośmielił się cara Wasyla Szujskiego wraz z całą rodziną wywieźć do Polski, gdzie „wszyscy poumierali w więziennych lochach”.

Nowikow przyglądał mi się ironicznie podczas tych wykładów, ale żadnych wrogich zamiarów nie wykazywał. Bał się Ałtuljanca i jego potężnych pięści. Jednakże któregoś dnia, gdy mego ormiańskiego przyjaciela blisko nie było, podszedł do mnie i z dumną miną zapytał: „Czy ty jesteś szlachcic? Bo my jesteśmy szlachta rodowa (*patomstwiennyja dworiana*). A wy?”.

Ojciec pokiwał głową. „Tak bardzo ci na tym zależy?”. „No bo jeżeli mu nie odpowiem, co i jak, będzie się ze mnie wyśmiewać!”. „Dobrze, wobec tego powiedz temu koledze, że nasze szlachectwo wynikało z zasług poniesionych kiedyś przez twoich przodków w służbie Rzeczypospolitej, a jego prawdopodobnie wysłużone w korytarzach i buduarach carskich. Ale wiedz jedno: szlachectwo, niepotwierdzone własnym wysiłkiem i pracą, nic nie jest warte. Czego nie dokonasz głową i tymi pięcioma palcami, tego żadne tytuły i herby nie odrobiją.

Tak powiedz temu gówniarzowi! A jeśli chcesz poznać jakieś szczegóły i daty, to weź zeszyt i no zapisuj. Ja ci podyktuję”.

Nazajutrz miałem dzień historyczny, a w nim wielki popis. Przede wszystkim okazało się, że Nowikow napuścił inspektor. Ten zaczął swój wykład od dokładnego obsztorcowania polskiej szlachty: jacy to byli pijacy, durnie, gnębiciele chłopów i mieszczan, zawsze w spółce z ciemnymi jezuitami. Następnie zapytał słodkim głosem: „No co, Nowikow, czy twój polski kolega opowiedział ci, jakiego jest pochodzenia?”. Ałtunjac, który siedział obok, dał mi kuksańca. „Uwaga – szepnął – *dusza lubieznyj* nie daj się Moskalom!”. Wstałem z zeszytem w dłoni i zacząłem recytować. Wyglądało to – po tylu latach nie ręczę za dokładność – mniej więcej tak.

„Szlachty w dawnej Rosji w ogóle nie było, tylko bojarzy, czyli magnaci. Byli książęta, pochodzący od Rurykowiczów. A potem namnożyło się różnych książąt i hrabiów z cesarskiej nominacji. Na przykład Mienszykow otrzymał tytuł od Piotra I, a przedtem sprzedawał pierogi na ulicach Moskwy. I nie brakowało lokajów, którzy otrzymywali tytuły hrabiowskie. Jakiego pochodzenia Nowikow, nic mnie nie obchodzi. A mój przodek otrzymał indygenat szlachecki na polu bitwy pod Chocimem. Ale mój ojciec mi powiedział, że zasłużę na szlachectwo, jeżeli własnym wysiłkiem uzyskam do niego prawo!”.

Wypaliłem to wszystko przy zachęcającym pomruku mniejszości narodowych. Nowikow kręcił się niespokojnie w ławce, inspektor mienił się na twarzy. Gdy skończyłem, zabrał głos. Znowu postaram się podać jego przemówienie plus minus wiernie.

„Szlachta rosyjska jest o wiele starsza, ponieważ pochodzi od wikingów skandynawskich, którzy przyszli na Ruś wtedy, gdy w Polsce byli sami chłopci. Znacznie później niektórzy z nich dorobili się na handlu z Żydami i wyszli na półpanków, i zaczęli gnębić tych biedniejszych. Nie było nigdzie takiej strasznej pańszczyzny jak w Polsce. A teraz ta osławiona polska wolność to anarchia i ciągłe bunty. Dlatego światli monarchowie – nasza Katarzyna Wielka, austriacka Maria Teresa i pruski Fryderyk – postanowili skończyć z gniazdem nieładu i przeprowadzili rozbiory. Generalissimus Suworow, największy wódz wszystkich czasów, bił tego ichniego Kościuszkę i innych, jak chciał i kiedy chciał. Teraz powstało państewko z operetki, ale na krótko. Nic na polską chytróść nie pomoże. Udają bardzo honorowych, a przecież słowo honor jest wzięte z łaciny, więc własnego honoru Polacy nie mają...”.

Czytelnik powie, że to skrajny wypadek i nie można go generalizować. Naturalnie! Zresztą już podkreśliłem, że wszyscy inni wykładowcy i wykładowczynie traktowali mnie życzliwie albo co najmniej poprawnie. Ale tak się w przeszłości dziwnie składało, że o polityce Rosji w stosunku do Polski decydowali zawsze Rosjanie typu mego inspektora, a nie szlachetni i sprawiedliwi, jak kiedyś choćby Hercen, a dziś niektórzy z nowych emigrantów. Ot – i cały morał tej opowieści. A resztę, jak o losach Alfa i Aldony, „niech чуły słuchacz w swej duszy dośpiewa”!

Mój kolega Nowikow

N6, 21 r, 23–26 r, 26 v. Tekst po niewielkich modyfikacjach opublikowany w ramach cyklu „Worek Judaszów”, „Wiadomości” 1977, nr 25.

Dusze chce łowić

Przed kilkunastu laty, pisząc w paryskiej „Kulturze” o ośrodku literacko-artystycznym w Lublinie, wspominałem o Łoży Wielkiego Uśmiechu, założonej w tymże grodzie trybunalskim na przełomie roku 1931 i 1932.

Inicjatorem był Józef Czechowicz, więc wybraliśmy go Bratem Prezesem. Każdy ze szczupłej grupki założycieli miał odpowiednie stanowisko w zarządzie. Ja otrzymałem tytuł Brata Straszego. Posiedzenia Łoży odbywały się w dniach powszednich w niewielkiej cukierni Semadeniego (na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Staszica), w niedzielę u Rutkowskiego. Każde posiedzenie zaczynało się od odczytania rymowanej listy członków. Brat Prezes mówił pierwszy wers, a cała reszta chóralnie – nazwisko. Wyglądało to następująco. Prezes: „Światu urąga...”. Chór: „Brat Henio Donga!”. „Piękny jak łądysz...”* – „Józio Falandysz!”. „Piekiel psalmodia...” – „*Sancta* Łobodia!”. I tak dalej. A na samo zakończenie: „Dusze chce łowić...” – „Józef Czechowicz!”. Więc oto wyjaśnienie tytułu niniejszego wspomnienia. Teraz czytelnicy już wiedzą, że mowa będzie o Czechowiczu jako poecie i człowieku.

W grupie Reflektora, zanim zdążyła się rozlecieć, Czechowicz był najmłodszy i początkowo przez starszych kolegów traktowany dość lekceważąco. Rej wodził Konrad Bielski, któremu powszechnie wrócono wielką przyszłość, na drugie miejsce wysuwał się Stanisław Grędziński; zaraz za nim Wacław Gralewski (nazywano go żartobliwie Gacio Wrালেwski).

Kiedy powstała nasza Łoża, grupa Reflektor już nie istniała, a czasopismo wydawane przez nią pod tym samym tytułem należało do przeszłości. Grędziński wyjechał nie wiadomo dokąd i „zmylił pogonię”, i już nikt o nim nigdy nie usłyszał; Bielski po skończeniu prawa i ożenku

* Po rosyjsku konwalia. Innego rymu autor nie znalazł. (przypis J.Ł.)

przeniósł się do Krasnegostawu i otworzył tam kancelarię adwokacką; Gralewski przestał uprawiać sport (głównie tenis) i pisać wiersze – pilnował fotelu redaktorskiego, zalecał się do aktorek i grał w bridża. Na placu pozostał Czechowicz.

Już pierwszym tomem *Kamień* zyskał sobie pozycję wśród młodych poetów. „Mocne macie ręce, Czechowicz!” – pisał o nim w „Kwadrydze” K.I. Gałczyński. Drugim tomem, *dzień jak co dzień*, wypłynął na szersze wody: entuzjastyczna recenzja Stefana Napierskiego (onże Marek Eiger) ukazała się w „Wiadomościach Literackich”. Zawierał ważne znajomości i przyjaźnie. Cenili go wysoko i wyróżniali mający duże wpływy Adam Skwarczyński oraz Wiliam Horzyca, a gdy powstał „Pion”, Stefan Flukowski, który został był sekretarzem redakcji, natychmiast go wprowadził do tygodnika.

„Pion” był pomyślany jako konkurencja dla „Wiadomości Literackich”, ale po pierwszych przelotnych sukcesach okazał się dzieckiem niezbyt udanym (mówiono o nim z jadowitą ironią w Warszawie: „Pion” nie ma poziomu!).

Z grupą „Wiadomości Literackich” stosunki bardzo szybko się popsuły. Gdy Czechowicz opierzył się literacko i zdobył sobie nazwisko (początkowo tylko wśród młodych z tzw. Drugiej Awangardy), zaczął prowadzić podjazdową wojnę z „Wiadomościami”. Skamandrytów nie cenił, więc mu odpłacano pięknym za nadobne. Po obu stronach było więcej złej krwi niż słuszności. Nie szczędzono sobie nawzajem złośliwych uwag. Gdy ukazał się trzeci z kolei tom Czechowicza, odnotowano go w rubryce nowych książek „Wiadomości” w zgryźliwy sposób: „*Ballada z tamtej strony*” (*Wisły?*). W roku 1935 Grydzewski wznowił „Skamandra”; Czechowicz nie został do niego zaproszony. Najmocniej szydził z niego Słonimski: „Pożyczyłem sobie tego Czechowicza...” Poczem z potężnego poematu *Dom świętego Kazimierza* (naturalnie, rzecz o Norwidzie) i po zacytowaniu niezbyt udanej, wyrwanej z kontekstu metafory przekreślił go jednym zamachem pióra.

Wreszcie doszło do nieprzyjemnego konfliktu, z którego autor *W błyskawicy* wycofał się bardzo niezręcznie. K[arol] W[iktor] Zawodziński wrócił po dłuższej przerwie do „Wiadomości Literackich” jako krytyk poetycki. Czechowicza także nie doceniał. Zaraz po powrocie do tygodnika Zawodziński ogłosił recenzję z nowego tomu Słonimskiego *Okno bez krat*. Czechowicz w odpowiedzi na ankietę „Okolicy” Stanisława Czernika, ojca i teoretyka tzw. „autentyzmu”, oświadczył, że recenzja

ta była ceną za powrót do „Wiadomości Lit[erackich]”. Nie miał racji. Recenzja była istotnie pochwalna bez zastrzeżeń, ale Zawodziński napisał ją szczerze, bo mu prozodia Słonimskiego całkowicie odpowiadała. Na niesłuszną insynuację Czechowicza zareagował w sposób gwałtowny, niemal brutalny.

Ten zapytał w liście do jednego z czasopism dość naiwnie, a w każdym razie nieogłędnie: „Co właściwie mam zrobić, wyzwąć pana rotmistrza na pojedynek?” (Zawodziński miał za sobą karierę rotmistrza ułanów). Replika była zabójcza, Zawodziński oświadczył, że o żadnym pojedynku nie może być mowy, ponieważ zgodnie z obowiązującym Kodeksem, mężczyźni typu Czechowicza nie mają prawa do postępowania honorowego. Wszyscy wiedzieli, co to znaczy.

Rozżalony Czechowicz zapowiedział uroczyście, że wycofuje się z dalszej twórczości literackiej i nazwał swój następny tom *Nic więcej*. Były to czcze pogroźki. Nieprzyjemna sprawa, sprowokowana przez niego samego, rozeszła się po kościach: po krótkiej przerwie poeta zaczął znowu drukować i zdążył jeszcze przed wojną wydać swój ostatni tom pt. *Nuta człowieka*. A we wrześniu 1939 roku przyszła podczas bombardowania Lublina śmierć, którą Czechowicz od dawna przeczuwał i poświęcił jej nadejściu wiele świetnych liryk.

Kiedy poznałem Czechowicza, już nie uznawał kobiet. Podobno zmiana upodobań nastąpiła nie od razu. I w pewnym okresie miał prowadzić dość intensywne i najzupełniej normalne życie erotyczne. Dowodem tego choćby taki fragment z wiersza: „Tapczan zgrzany jak rola, orzą lemieszko kolan...”¹. Ale wkrótce sytuacja zmieniła się o 180 stopni. Kochała się w nim beznadziejnie mała, skromna nauczycielka i tej zadeydował poniższe jakże delikatne wersy: „Słuchaj, te słowa, co cichną,/ to dla ciebie erotyk,/ srebrna duszyczko zwrotek,/ Marychno!”². Jak wielokrotnie podkreślał: „Krótko, ale często i intensywnie”. To było wszystko.

Kilkunastoletni Stefanek G. uchodził oficjalnie za siostrzeńca, ale spełniał zupełnie inne czynności. Już w Warszawie, gdy chłopak zmężniał i odbywał ochotniczą służbę wojskową, [-] doszło do zerwania, które Czechowicz przeszedł bardzo ciężko. Napisał wtedy poemat, dla postronnych

¹ Niedokładny cytat z wiersza Józefa Czechowicza *Miłość* (z tomu *dzień jak co dzień*): „tapczan twardy zgrzany jak rola/ orzą chyże lemieszko kolan”.

² Niedokładny cytat z wiersza Józefa Czechowicza *Miłość* (z tomu *ballada z tamtej strony*): „czy wiesz te wiersze co cichną/ dla ciebie erotyk/ srebrna duszyczko zwrotek/ marychno”.

dość enigmatyczny, zakończony takim zwrotem do odchodzącego: „Nie żałuj, wstąpiłeś w mit!”. Wysłone komentarze tych krytyków, którzy nie znali intymnej podszewki utworu, wypadły rozczulająco naiwnie.

Po przeniesieniu się do Warszawy (rok 1933) i objęciu redakcji czasopisma literackiego wydawanego przez Związek Nauczycieli Czechowicz zarabiał bardzo dobrze, tym bardziej że miał łatwy dostęp do „Pionu” i radia, a mimo to z pieniędzmi było wciąż krucho, bo Stefanek sporo kosztował, a po odejściu jego następcy byli jeszcze bardziej wymagający. Swego czasu Czesław Miłosz opisał te sprawy najpierw w „Kulturze” paryskiej, następnie w tomie *Kontynenty*. Popenił sporo niedokładności, ale nie będę ich tu prostował, bo temat niezbyt zachęca.

Zajmuje mnie co innego, mianowicie stosunek poety do jego matki. W każdym tomie Czechowicza (wydał ich sześć) mamy co najmniej jeden wiersz o matce, a wszystkie bardzo urodziwe. Stąd powstała wersja, że ją kocha niezwykle intensywnie. Tu powstaje problem obchodzący chyba w znacznie większym stopniu psychologów niż historyków literatury. Jeszcze w Lublinie uderzyło mnie, że nigdy, przy żadnej okazji, nikt z nas nie zetknął się z matką Czechowicza. Myślałem się, że nie chce się nią popisywać, że to prosta, niewykształcona kobieta. Ale wiersze jej poświęcone zmuszały do przekonania, że syn nie tylko ją kochał, ale wręcz ubóstwiał. Proszę sobie wyobrazić moje zdumienie, gdy na krótko przed jej śmiercią dowiedziałem się, że przez całe lata pracowała w magistracie lubelskim jako pomywaczka, szorując podłogi i schody i zarabiając psie pieniądze. Stara, schorowana kobieta! A ponadto nigdy nie chciała z nikim mówić o swoim synu.

Więc jak – udawał? Absolutnie to wykluczam, wiersze o matce należą do najczystszej, najmocniej wyczutej, na sto procent szczerzej liryki. Rozdwojenie jaźni? Powtarzam: to raczej temat dla psychologów. Dodam, że gdy Czechowiczowa umarła, jej syn wrócił z cmentarza przybity, roztrzęsiony, z trudem powstrzymujący płacz. Aktor? Także i w to nie wierzę. Po prostu cała sprawa nie mieści mi się w głowie i stoję przed nią najzupełniej bezradny. Nie dla mnie takie komplikacje, niemal porażające o patologię.

Czy był mitomanem? Wiele na to wskazuje, ale to chyba tylko pozory. Mitoman wierzy we własne zmyślenia. Sądzę, że Czechowicz tworzył dokoła swojej osoby różne legendy z całą świadomością, upiększając własny żywot, który w gruncie rzeczy był szary i monotony. Ale w te zmyśłone przez niego samego legendy nie wierzył. A było ich mnóstwo.

Opowiadał mi Konrad Bielski, że Czechowicz nagle zawiadamiał swoich przyjaciół o rzekomym wyjeździe do Warszawy, po czym zamykał się w mieszkaniu i nie wychodził z niego przez kilka dni. Kiedy indziej zapewniał, że otrzymał z Hollywoodu zamówienie na scenariusz filmowy, który przyniesie grube pieniądze. Jeszcze jedno malownicze zmyślenie. Gdy go złapano na kolejnej fikcji, rumienił się, przyznawał rację i przepraszał. Prawdziwi mitomani tak nie postępują.

Tadeusz Kłak, zamieszkały w Lublinie, specjalizuje się w badaniu życia i twórczości Czechowicza. Robi to z nadmierną wiarą, mianowicie biorąc za czystą prawdę wszystko, co poeta oświadczył publicznie i pisał w swoich listach. Szanowne złudzenie, a w konsekwencji grube nieporozumienie. Oto reprezentacyjny przykład! Pozostała legenda, że głównym motorem i animatorem Związku Pisarzy Lubelskich był w latach trzydziestych właśnie Czechowicz. Nic podobnego! Owszem, był, jak tyle razy, inicjatorem, ale tylko tyle. Pierwsze zebrania Związku, który jeszcze nie mógł niczego organizować publicznie, bo nie był formalnie zalegalizowany, odbywały się w prywatnym mieszkaniu poety przy ulicy Radziwiłłowskiej, gdzie przy stole mieściło się siedem–osiem osób. Sam gospodarz, Franciszka Arnsztajnowa, Antoni Madej, ja, jeszcze dwóch albo trzech, plus sprowadzony prelegent. Jednym z nich był Jerzy Braun, który, naturalnie, przyjechał z omówieniem doktryny Hoene-Wrońskiego.

O wystąpieniach publicznych nie mogło być wtedy mowy. Gdy na wiosnę 1934 roku wróciłem po przeszło niemal pół roku nieobecności do Lublina, dowiedziałem się, że zalegalizowanie Związku wymaga uzupełnienia listy członków-założycieli. Ilu brakuje? Trzech? Prosta sprawa. Poszedłem na piechotę do Krasnegostawu i wziąłem podpis od Konrada Bielskiego; następnie do Chełma po podpis Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, popularnego KAJ-a, i wreszcie do Stołpia (ludna międzynarodowa wieś: Polacy, Ukraińcy, Niemcy, Żydzi), gdzie akurat osiedlił się po skończeniu seminarium nauczycielskiego Wit Kasperski z młodziutką żoną. Przyniosłem do Lublina brakujące trzy podpisy. Związek został zalegalizowany i zaczęła się dość intensywna akcja: prawie co tydzień referat z publiczną dyskusją. Czechowicza już od przeszło roku nie było w Lublinie. Żadnej roli w naszej akcji kulturalnej nie odgrywał, tyle że parę razy przyjechał na wspólne wieczory autorskie. Ale w listach z uporem przypisywał sobie rolę kierowniczą, starannie podtrzymując absurdalną legendę. Zawsze przypuszczałem, że było w tym więcej przekornej zabawy niż świadomej megalomanii...

Czechowicz zawsze chciał redagować pismo literackie, miesięcznik Związku Nauczycieli mu nie wystarczał i ciągle miał pretensje do innych, którzy nie tylko wykazywali podobne inicjatywy, ale potrafili je realizować, a więc krytykował Jaworskiego, że ten nie chciał oddać mu w pacht chełmskiej „Kameny”, oraz mnie, żem w „Dźwigarach” rządził się udziałnie i nie liczył się z postronnymi mentorami. Jego marzenia spełniły się zbyt późno po latach, gdy kierownik wydawnictwa „Hoesicka” Marian Sztajnsberg zgodził się na wydawanie kwartalnika „Pióro” pod redakcją właśnie Czechowicza. Pierwszy numer wypadł bardzo okazale: garść dobrych wierszy mało jeszcze znanych, a doskonale zapowiadających się autorów (Adam Galis, Stachowski, Niżyński), ciekawe eseje. Ale ogólną tendencję literacką „Pióro” zawdzięczało w większym stopniu młodemu, coraz bardziej wybijającemu się krytykowi Ludwikowi Fryde niż naczelnemu redaktorowi. Drugi numer czasopisma, który miał wyjść na jesieni 1939 roku, a więc z dużym opóźnieniem, spłonął w pożarach wrześniowej Warszawy.

Trudno przesądzać, jakby wyglądał rodzaj dalszy rozwój „Pióra”, gdyby wojna nie wybuchła. Czy potrafiłoby złagodzić wyraźnie sekciarski charakter pierwszego numeru, czy odwrotnie: utrwaliłoby swoje skrajne postawy? W przedwojennej Polsce krytycy i teoretycy poezji w większości byli ekstremistami. Z jednej strony Zawodziński, z drugiej – Peiper i Przyboś. Napierski – kapryśny, przewrażliwiony, często niesprawiedliwy, zachowywał się najbardziej umiarkowanie: potrafił uwzględniać przeciwstawne prozodie, unikając typowego u innych sekciarstwa.

Właściwie oceniany, a nawet czczony w pewnych środowiskach literackich, Czechowicz boleśnie przeżywał brak powszechnego uznania. Pocieszał się: „Kiedyś sława ciemnym złotem zaleje mój grób!”. Nieraz zastanawiałem się, jakby się zachował, gdyby przeżył wojnę i pozostał w kraju? Czy poszedłby na poniżający kompromis, jak Tuwim, Iwaszkiewicz, Słonimski, Broniewski, Gałczyński, Przyboś i tylu innych, czy też zamilkłby i usunął się w cień? Trudno przesądzać. Jedno pewne: do socrealizmu absolutnie nie pasował. Gdyby spróbował doszłusować do niego, doszłoby do kompletnej plajty artystycznej.

Przez dłuższy czas o Czechowiczu było w kraju głucho, nikt go nie przypominał, jego poezja nie miała reedycji, nie docierała do czytelnika. Upomniano się o niego najpierw na emigracji (Czesław Miłosz w paryskiej „Kulturze”), potem także w kraju (Jan Śpiewak i Seweryn Pollak). Wkrótce posypały się wspomnienia, eseje, całe książki. I tu, i tam świeciły swe

triumfy tendencje różnego rodzaju. Miłosz pisał o Czechowiczu z sympatią nie zawsze celną. W ostatecznym rozrachunku uznał, że był to *poeta minor*, z czym trudno się zgodzić.

Zdarza się, że przesadna ocena własnej twórczości i zadrażniona ambicja popycha ku ocenom niezadającym egzaminu już w najbliższym czasie. Poirytowany Jan Lechoń zanotował w swoim *Dzienniku*, że „po dwudziestu latach nikt nie będzie czytać Czechowicza i Miłosza”. Wyszło zupełnie inaczej: obydwaj poeci, zmarły i żyjący po dziś dzień, mają więcej czytelników niż zadufany w swoją wielkość Lechoń. Megalomania nie sprzyja bezstronnym ocenom. Oczywiście, Lechoń był wówczas człowiekiem psychicznie zwichniętym, aż ten stan, pogłębiający się z każdym rokiem, doprowadził go do tragicznego rozwiązania. Lektura jego *Dziennika* jest, wbrew opiniom niektórych entuzjastów, niestrawna i niezmiernie przykra, przynajmniej dla mnie.

Najdziwniejsze, o czym mało kto wie, że Czechowicz miał ambicje polityczne. Jeszcze w Lublinie chciał zostać posłem i poważnie zabiegał, aby BBWR wysunął jego kandydaturę. Ale nie wzięto tych starań pod uwagę. W roku 1932 był przez pewien czas redaktorem naczelnym dziennika „Kurier Lubelski”. Redaktorem był miernym, „Kurier” miał niezdecydowane oblicze polityczne. Natomiast dział literacki stał na dość wysokim poziomie. Tego było za mało, by zyskiwać licznych czytelników. Działo się to w okresie kryzysu i bezrobocia. Klęska gospodarcza dotknęła przede wszystkim województwa rolnicze, między innymi Lubelszczyznę. „Łońskiego roku nieurodzaj – szemrali bezrolni bandosi – teraz jakiegoś tam krezusa wymyśliły!”

Był Czechowicz poetą krajobrazu i wsi, rozmiłowanym w chłopskim folklorze. Stąd śpiewność jego rytmiki, nieistniejąca w twórczości Awanardy Krakowskiej. To cecha chyba najsilniej różniąca go z Przybosiem, choć ten, jako autentyczny chłop, powinien Czechowiczowi co najmniej pod tym względem dorównywać. Może to wynikało z różnicy między lubelską borowiną i piachami w Gwoźnicy? Nie wiem, stwierdzam oczywiście fakt. Przyboś, bodaj świadomy swej klęski, zawsze Czechowicza usiłował lekceważyć, a jego rytmikę utożsamiał ze śpiewnością lenartowiczowską, co było niewątpliwym nonsensem. Zakładam, że na krótko przed wojną „papież awangardy” zaczynał zdawać sobie sprawę ze smutnej prawdy, iż poetycki „rząd dusz” na jego własnym terenie zaczyna przechodzić w ręce autora *w błyskawicy*. Bomba niemiecka pozbawiła Przybosia najgroźniejszego konkurenta.

Kiedyś przypomniałem scen mój dialog z Franciszką Arnsztajnową, która była poetką niezbyt dużej klasy, ale wielką panią pod każdym względem. Zapytała mnie o mój stosunek do Czechowicza. Gdy wahałem się, stwierdziła, że to znakomity poeta, więc trzeba przyjmować go „z całym dobrodziejstwem inwentarza”, to znaczy patrzeć przez palce na wszystkie jego wady. Bo poezja przechyła szalę na korzyść grzesznika, choć o wielu rzeczach nie było łatwo zapominać. Więc musiałem zgodzić się z Arnsztajnową: trzeba przyjąć Czechowicza „z całym dobrodziejstwem inwentarza”.

Niewątpliwie jest to jeden z liryków najczystszych w polskiej poezji. Na temat „poezji czystej” i „nie-czystej” wylano morze atramentu, przeważnie z żadnym skutkiem. Koło tego zagadnienia narosło tyle nieporozumień, fałszów, frazeologicznych nadużyć, że przeważnie prawda tonęła bez ratunku w mydlinach retorycznych rozważań. Bo w gruncie rzeczy granica między poezją czystą i zaangażowaną przebiega bardzo kapryśnie, a często jest zupełnie niewidzialna. Ta granica u Czechowicza (podobnie jak u Marii Pawlikowskiej – inny typowy przykład) prawie zawsze świeci nieobecnością. A zresztą potępienie tzw. poezji publicystycznej polega na nieporozumieniu. Przecież *Grób Agamemnona* to publicystyka, a jednocześnie jeden z najwyższych szczytów poezji nie tylko polskiej – światowej!

Owszem, zdarzają się poeci całkowicie niezaangażowani, ale ich obojętność na wszystko, co nie jest intymną liryką, uważam za kalcetwo, a nie za zaletę. Naturalnie, tu otwieram szeroko drzwi przed zasadniczą polemiką, która ze zmiennym szczęściem toczy się od dawna i jak sądzę, będzie się toczyć aż po granice czasu nieustannie, chyba że poeci przestaną przychodzić na świat. „Gwiazdy nade mną, prawo moralne we mnie”. I wszystko, co jest do wysłownienia w czułym wzruszeniu, zachwycie albo w słusznym gniewie i buncie. I gwiazdy kobiecych oczu, i błyskawice mistycznych doznań, i płacz nad ludzką krzywdą, i serdeczna radość na widok jedyne go na świecie, niczym niezastąpionego ojczystego pejzażu.

Czechowicz był na swój sposób poetą zaangażowanym, raz po raz wyrastając ponad kameralność innych, najbardziej ściszonych wierszy. I wtedy, gdy we wczesnej młodości marzył, aby „ludu karabinem być wiosną”, i gdy dawał się porywać legendzie starego komendanta, gdy w roku 1938 cieszył się: „rąbek granicy nam wzeszedł” i gdy groźnie zapowiadał: „przez was runą mury Jerycha!”. Zginął młodo, w pełni sił

twórczych, przepełniony wielkimi planami i zamiarami. Ciągłe zapowiadał napisanie dużego, epickiego poematu, który dojrzewał w nim powoli: „Ziemia – gwiazda dziwna”. Nie spieszył się jak wielu innych, lękał się przedwczesnego porodu.

Jego próby dramatu były raczej nieudane, choć gdzieś tam znać było uderzenie lwiego pazura. Wystawienie jednoaktówki *Czasu jutrzejnego* zostało przyjęte przez krytykę teatralną ze zdziwieniem; przeważnie wzruszano ramionami. Kazimierz Wierzyński, który prowadził felieton teatralny w „Gazecie Polskiej” i z okazji premiery spotkał się z Czechowiczem osobiście, mówił mi później, że w tej debiutanckiej sztuce jest dużo gęstej mgły, widać niepewną jeszcze i niedoświadczoną rękę, ale nie należy odbierać Czechowiczowi animuszu: „coś w tym tkwi, tyle że jeszcze w stanie nie dość skryształizowanym”. I dał recenzję ze sztuki wielce umiarkowaną.

Daremnie zastanawiać się, co by było, gdyby było. Wkrótce po wybuchu wojny poeta wyszedł z Warszawy na piechotę. Szosa lubelska była nieustannie bombardowana. Garwolin, Markuszów, Kurów stały w ogniu i dymach pożarów. Henryk Domiński, który towarzyszył Czechowiczowi w tej wędrówce, opowiadał następnie Stanisławowi Piętakowi, że autor *nuty człowieczej*, coraz to wpadał w panikę, ledwie doszedł do niego ryk silników lotniczych, już leżał w przydrożnym rowie! Przeczucie rychłej śmierci, zawsze obecne w jego wierszach, nawiedzało go teraz materialnie. Ale do Lublina doszedł i dopiero tu czekała go śmierć. Spoczął na starym lubelskim cmentarzu, tym cmentarzu, któremu poświęcił jeden z najpiękniejszych swoich utworów zakończony napisem z drewnianej cmentarnej na dawną modłę ciosanej: „Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz w dniu ostatnim!”

Osobny temat nieuwzględniony w dostatecznej mierze, jeżeli się nie mylę, przez żadnego z badaczy i glosatorów twórczości Czechowicza, to autentyczna, choć dyskretnie stonowana religijność jego liryki. On sam lubił mawiać, że wprawdzie słowo Bóg nigdy się u niego nie zjawia, ale najważniejsze wiersze są nasycone triumfującą metafizyką. I nie mylił się, nie była to pusta przechwałka. Zaprawdę – „dusze chciał łowić”.

Dusze chce łowić

N16, k. 15–29 r. Po modyfikacjach tekst ukazał się w ramach cyklu „Worek Judaszów”, publikowanym na łamach „Wiadomości” (1980, nr 27 i 28).

[O Wacławie Mrozowskim – wspomnienie] (fragment)

Którego dnia przyszedłem na obiad dość późno, gdy knajpa już była wyludniona. Przy deserze mamusia Łodzi przysiadła się z zatroskaną miną i wyciągnęła mnie na rozmowę.

– Panie Józef, pan dobrze zna tego Wacka Mrozowskiego, nie?

– Jak zły szeląg.

– To pan go nie uważa?

– Pęta i kanciarz.

– Bo pan może nie wi, że on do mojej Łodzi na konto miłości zasuwu. Nie powiem, chłopak przystojny i postawny, ale coś mi się nie widzi. Zupę pomidorową wbija w krzyże za darmo i na spacer albo do kina dziewczynę prowadzi. Tylko że za biletu wejścia to ona sama płaci. Bajeruje ją, że mu książkę z wierszami, co pisuje, wydadzą i wiczną forszę wypłacą, a wtedy on wszystko pokryje i do ołtarza ją poprowadzi. Może to być?

– Pani Leokadio! Nikt mu żadnej książki nie wyda, a już o forsie nie ma mowy. Jeżeli wyda te swoje wiersze, to własnym kosztem, jeżeli gdzieś trochę grosza podłapie. Ale na to się nie zanosz, bo niby skąd? Żre za darmo, póki mu pani pozwala, i dziewczynę podmacuje. Niech pani uważa, żeby Łodzia nie osłabła i nie pozwoliła mu zaudto. Zmajstruje jej dzieciaka, a potem wszystkiego się wyprze. A dochozić go nie ma na czym, bo facet wiatrem podszyty.

– To co pan Józef doradza?

– Niech sobie panina Łodzia innego narzeczonego poszuka, bo z tym na nic nie zarobi, a może stracić, co każda dziewczucha tylko raz w życiu traci. A tego, co za zupę pomidorową winien, nigdy pani nie ujrzy. Ja bym na pani miejscu już dawno go popędził.

- Ta moja głupia córka ślepia będzie wypląkiwać...
- Lepiej jak popłacze teraz, a nie potem, gdy już będzie za późno.

Rozmowa miała natychmiastowe skutki. Gdy następnego dnia Mrozowski przyszedł do knajpy, pani Leokadia oświadczyła mu lodowatym tonem, że „zupy nie ma!”. „Jak to – zdziwił się – przecież inni goście jedzą...”. „Jedzą, bo płacą. A o tych wierszach to już się dowiedziałam, że czysty pic i bajerunek! Niech sobie pan Wacław poszuka innej knajpy i narzeczonej. A moja Lodzia do takiej łachudry nie pasuje”.

Wacio wyniósł się jak zmyty i długo zastanawiał się, kto mu podłożył świnię. Nazajutrz miałem rozmowę z Lodzią. Przeczekała, aż na sali zrobi się pusto i przysiadła się, jak uprzednio jej matka. Oczy miała spuchnięte, widocznie już było po rozmowie z panią Leokadią. Opowiedziałem jej dokładnie, co Mrozowski porabia, jaką ma pensję i co z tą poetycką książką. Owszem, stać go na obiady i na kino, ale woli wydawać gdzie indziej na wódkę i dziwki. A poza tym odwala kanty i małżeństwo ani mu w głowie.

„Panno Lodziu – powiedziałem na zakończenie z dość brutalną szczerością – chce się pani z nim puścić, to pani sprawa. Ja bym też chętnie panią do kina zaprosił, ale nie za darmo. I uprzedziłbym: chcesz się ze mną przespać, to bym z tej radości się nie posiadał i kupiłbym ci, na co masz chęć. Ale bym małżeństwa nie obiecywał. Teraz pani wie. Wacuchna chce się pożywić, także za darmo: zupa [pomidorowa?], a na dodatek śliczna Lodzia. Pluń na tego kanciarza, póki czas!”

Dziewczyna rozplakała się. Zrobiło mi się jej żal. „Jeżeli cię uraziłem, bardzo przepraszam. Ale powtarzam: jeżeliś sobie wbiła do łepetyny, że on się [z] tobą ożeni, to sobie to wybij jak najprędzej. On by ciebie chętnie wziął na kocią łapę, ale o księdzu i zapowiedziach – ani mu się śni. Nie miej żadnych wątpliwości”.

Finał był dość niespodziewany. Gdy po paru dniach znowu zjawiłem się na rogu Tamki, Lodzia podawała do stołu, jakby nic, wyglądała na zupełnie uspokojoną. Zwróciło moją uwagę, że łypała siwym oczkiem dość zalotnie. Po półgodzinie znikła, za to zjawiła się jej mama, jakoś dziwnie nastroszona i uroczysta.

– Panie Józef, nie wiem, jak dziękować, że pan mojej Lodzi tego drania z głowy wybił. Wszystko mi opowiedziała i już na niego nie chce patrzeć. On tu wczoraj podchodził i chciał ją znowu brać na bajer, ale go przepędziła. Panie Józef, pan jej podobnie oświadczył, że się panu podoba i chętnie by z nią poszedł do kina. Pan jest solidny gość i rachunki

zawsze płaci, to ja bym nie miała za złe, jakby pan się tą moją Lodzią
zajął. Dziewczyna swoje lata ma, nie dziwne, że do chłopów...

[*O Wacławie Mrozowskim – wspomnienie*] (fragment)
N12, k. 45 v, 48–50 v.

Cztery Lubliny

Pierwsze echa, jakie miałem po ukazaniu się mego artykułu-wspomnienia pt. *Stary cmentarz w Lublinie*, zachęciły mnie do napisania szerzej o przedwojennym Lublinie, co uzasadnia nie tylko sentyment do tego miasta, ale także jego oblicze społeczno-polityczne za Drugiej Rzeczypospolitej. Lublin nie był pod tym względem wyjątkiem, gdzie indziej działały się rzeczy podobne lub zbliżone, ale zjawiska, które mnie obchodzą, występowały w starym trybunalskim grodzie w kształcie chyba najbardziej wyrazistym, a tym samym chyba także najbardziej reprezentacyjnym.

Tego nie da się sprecyzować w kilku słowach, więc proszę czytelników o cierpliwość.

Obserwacje moje powinny zainteresować nie tylko ludzi w taki czy inny sposób związanych z Lublinem. Przeszłość tego miasta, podobnie jak wszystkich polskich miast, całego kraju, całego narodu, jest starannie załgana przez propagandę reżimowo-komunistyczną, niezmiennie zainteresowaną tym, żeby młode pokolenia nie poznały prawdy historycznej. Niechże więc moje świadectwo ujrzy światło dzienne, a może dotrze do kraju, choćby w stosunkowo szczupłym zasięgu. Pewnie coś z tego zostanie. Bo to nieprawda, że fałsz i oszczerstwo zawsze tryumfują.

A właśnie. „Kiepskie piwo w tej Końskowoli...” – narzekał Zagłoba, łypiąc okiem do skonfundowanego Longinusa Podbiپیęty. Chyba w XVII-wiecznym Lublinie pędzono piwo lepsze niż w Końskowoli, bo zacnych browarów nigdy nie brakowało. Ale zdarzało się, że piwo bywało zbyt pienne i szybko szło 20 groszy.

Zacnę od topografii. Po drugiej wojnie światowej Lublin mocno się rozbudował, znacznie zwiększył ilość mieszkańców i tym samym wygląda zupełnie inaczej niż w dniu 27 sierpnia 1939, gdy po raz ostatni

jechał dorożką z ulicy Szopena na stację. Ówczesny Lublin miał kształt pająka czy – jeśli ktoś woli – rozgwiazdy. Centrum niewielkie, a od niego odchodzące w kilku kierunkach długie ramiona. Była to konsekwencja konfiguracji terenu.

Wtłoczone na pagórkach widły trzech rzek – Bystrzycy, Czechówki i Czerniejówki – miasto w swoim rozwoju trzymało się suchych wyniosłości, omijając bagniste brzegi i podmokłe łąki. Widocznie po wojnie zostały osuszone. Dobrodziejstwo „demokracji ludowej”! Pozostaje pytanie: kto zawinił, że Stare Miasto, odnowione na łapu-capu w roku 1954 na dziesięciolecie „Manifestu”, wali się coraz bardziej i zdaje się bez ratunku? Kto? Bo chyba nie nieistniejąca od dawna sanacja...

Początki Lublina wyprowadzano przez długi czas z wieku IX, później archeolodzy przesunęli jego powstanie jako grodu warownego o jakieś trzy–cztery stulecia. Do największej świetności doszedł w wieku XVI, gdy został w nim zainstalowany Trybunał dla całej Małopolski. Zbiegło się to prawie dokładnie z Unią nazwaną od razu Lubelską, gdy południowe prowincje Wielkiego Księstwa Lubelskiego włączone zostały do Korony. Tym samym całą dzisiejszą Ukrainę włączono do Korony, co miało dla miasta ogromne znaczenie gospodarcze. W wieku XVI Lublin był skanalizowany (Paryż kanalizacji nie znał), ponadto miał licznieszą ludność (ponad sześćdziesiąt tysięcy) od elżbietańskiego Londynu.

Potężny cios zadały miastu wojny drugiej połowy XVII stulecia, najbardziej okupacja szwedzka i następnie kolejne najazdy Moskwy i Rakoczege. Już pod koniec tego stulecia ludność spadła do jednej piątej, a w kilkadziesiąt lat później, gdy prześmiewca i satyryk Ignacy Krasicki umiejscowił swoją *Monachomachię* właśnie w Lublinie, napisał o nim, że ma „bram cztery ułamki, dziesięć klasztorów i gdzieniegdzie domki” (cytuję z pamięci i nie odpowiadam za ilość klasztorów: dziesięć, dziewięć?).

Ale to oddalone sprawy. Jak wyglądało miasto między dwiema wojnami, a więc w dwudziestoleciu niepodległości? Otóż, zgodnie z tytułem, widziałem w nim podział (z grubsza) na cztery Lubliny: centrum inteligenckie rozbite na endecję i piłsudczyków, mniej lub bardziej liberalnych. Dalej – dzielnice robotnicze, głównie Bronowice i Piaski, częściowo także Kalinowszczyzna, Wieniawa i Kośminek, i wreszcie ludność żydowską: Stare Miasto, Podwale, ul. Lubartowska. Pewnie można było wprowadzić dalsze rozróżnienia, np. społeczność żydowska nie była jednolita, dzieliła się co najmniej na trzy grupy: ortodoksi, spolonizowana

inteligencja i pośrodku między jednymi i drugimi – skomunizowana młodzież. Do tego dochodziły podziały społeczno-ekonomiczne: robotnicy, rzemieślnicy, inteligencja pracująca w wolnych zawodach, przemysłowcy, bogaci kamienicznicy, bankierzy. Ideologicznie te podziały nie pokrywały się między sobą. Przykładowo: ciężko pracujący tragarz zza Krakowskiej Bramy mógł chodzić do synagogi i odprawiać szabas przy świecach, a syn milionera entuzjasmował się Marksem i Leninem. Ale o tym w jednym z dalszych artykułów.

Lublin miał duże tradycje: jedna z nich to powstańcza i nieco później socjalistyczna. Stąd nazwa „Czerwony Lublin”. No, znowu różnie z tym bywało. Na grobie księdza Ściegiennego (już o nim pisałem) stale składano kwiaty, a w dniu 1 maja wieńce, robotnicze dzielnice były aż do końca 1920 roku całkowicie opanowane przez PPS, tu Rydz-Śmigły i Ignacy Daszyński założyli socjalistyczną „Republikę Lubelską”, a w maju 1926 pół miasta wyległo na ulice, by burzliwie okłaskiwać 8. Pułk Piechoty Legionów, gdy z generałem Romerem na czele maszerował na dworzec, by przyjść z sukcesem Piłsudskiemu. To była jedna tradycja historyczna, świadcząca się właśnie księdzem Ściegiennym, powstańcem spod Fajslawic, młodym Prusem, Stefanem Żeromskim, bojowcami Frakcji Rewolucyjnej, legionistami poległymi pod pobliskim Jastkowem, czerwonym sztandarem na wieży magistrackiej w jesieni 1918 roku...

Druga tradycja wyglądała zupełnie inaczej. Jak w całym zaborze rosyjskim inteligencja miejska tworzyła się po roku 1865 głównie ze zdeklasowanych ziemian, pozbawionych majątków na skutek karnych konfiskat przeprowadzanych przez rząd carski. To oni, rozgoryczeni klęską, przekonani do haseł „pracy organicznej”, stworzyli z biegiem czasu pożywkę społeczną „Narodowej Demokracji”. Konflikt między pierwszą a drugą grupą nie od razu objawił się z całą siłą; naprawdę się zaczął dopiero podczas pierwszej wojny światowej, a zaostriżł się po roku 1920, aby nabrać znamion prawdziwego paroksyzmu po zamachu majowym. Ale i przedtem. Pamiętam świetnie, po śmierci Narutowicza i egzekucji jego zabójcy śmietanka endecka Lublina zbierała się w mieszkaniu pewnego malarza (przyzwoitego prywatnie człowieka, ale zwariowanego politycznie fanatyka), by w nabożnym skupieniu oglądać alegoryczny obraz przedstawiający ową podwójną tragedię. Wyglądało to następująco: nad trupem Niewiadomskiego stał Piłsudski w czerwonym stroju błazna z sadystycznym uśmiechem na twarzy i z dymiącym pistoletem w ręku. A u wezgłowia Niewiadomskiego

klęczała dziewczica w powłóczystej sukni, mająca być alegorią zubożałej Polski, z naręczem biało-czerwonych róż. Aplauz był powszechny, znajomy mi fanatyk nabył ten obraz za grube pieniądze.

Inne wspomnienie z tej samej serii. Idę Alejami Racławickimi w kierunku Uniwersytetu. Widzę afisz o filmie *Dziesięciu z Pawiaka*. Rzecz o słynnej akcji bojówki Frakcji Rewolucyjnej PPS pod dowództwem Jura-Gorzechowskiego. Film bliski mi rodzinie, gdyż rodzony brat mojej matki Leon Dobrejko-Jarząbkiewicz brał udział w owej słynnej akcji. Podchodzę bliżej. Pod tytułem „dziesięciu” „z Pawiaka” przekreślono, wpisano grubymi literami „bandytów”. Ergo bojowcy Piłsudskiego mordujący na Pawiaku byli bandytami. Ci, którzy ich z więzienia zwolnili – także. A więc i młodszy brat mojej matki. Śliczne, co?

Były na KUL-u trzy korporacje studenckie: Concordia, Astrea i Hetmania. Ale tylko panowie z Concordii nosili zielone wstążeczki. To zapewne jeden z nich uzupełnił afisz dopiskiem „bandyci”. No cóż, „każdemu wolno kochać”, jak głosił modny ówczesny przebój.

W Bratniaku KUL-u większość miała Młodzież Narodowa sprzymierzona z organizacją katolicką „Odrodzenie”. ZPMD (Związek Polskiej Młodzieży Demokratycznej) i Legion Młodych tworzyły opozycję, która zawsze przegrywała wybory, gdyż stanowiła zdecydowaną mniejszość. Była jeszcze grupka „Ludowa”, ale ta w ogóle nie odgrywała żadnej roli. O większości decydowały panienki pochodzące z dobrych rodzin mieszczańskich. Wiadomo było, że mało która kończyła studia, przeważnie chodziło o znalezienie męża. Oczywiście, były wyjątki, dla porządku wymienię Hannę Malewską, która studiowała historię, a wyrobiła się na pierwszorzędną powieściopisarkę. Inne wychodziły za mąż po dwóch–trzech latach studiów. Ale zdarzały się także studentki-mężatki. Tym nie chodziło o tytuły naukowe, po prostu nudziły się w towarzystwie mężów, przeważnie starszawych. Zdarzały się, choć rzadko, bo mężatki zakochane, a co najmniej wierne, nie szukały ucieczki w fikcyjnych studiach. Na tym zakończę pierwszy odcinek publicystycznego filmu, którego tytuł czytelnicy już znają: „Cztery Lubliny”.

Cztery Lubliny

N8 k. 63–75 v.

Cztery Lubliny (II) (fragment)

Jak napisałem w pierwszym odcinku tej pracy, kontrasty społeczne i polityczne w Lublinie miały charakter niezwykle wyrazisty: pod tym względem – powtarzam – stare miasto trybunalskie można było uznać za reprezentacyjne okno wystawowe na tle ówczesnej Polski. Inteligencja, która skupiała się głównie wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia i jego przecznic (Trzeciego Maja, Kołłątaja, Kościuszki etc.), dzieliła się, jak już napisałem, z grubsza na dwie grupy: Narodowa Demokracja z jednej strony, elementy antyendeckie – z drugiej. Pierwsza grupa była o wiele bardziej zwarta i solidarna. Ta druga – znacznie bardziej różnorodna i tym samym ciekawsza. Przez dłuższy czas łączył ją kult Piłsudskiego, ale już w parę lat po zamachu majowym zaczęły zarysowywać się poważne różnice, aż doszło do rozłamu na tle brzeskiego procesu. Dawny sentyment do Komendanta nie uległ całkowitemu zachwianiu, natomiast BBWR znalazł się od razu pod ostrzałem tych liberalno-demokratycznych inteligentów, którzy zresztą nigdy nie wykrystalizowali się ideologicznie w sposób wyraźny i niedwuznaczny. Byli to przeważnie ludzie w większym stopniu kierujący się uczuciami niż dyscypliną intelektualną; jeżeli nie dochodzili do socjalizmu (pod firmą PPS), błakali się trochę po ciemku, ideowo raczej bezdomni. Wkrótce Konstanty Ildefons Gałczyński nazwał ich dość celnie „zziębniętą, ginącą nacją”, ale nie zdawał sobie sprawy, że on sam do niej należał, choć udawał „narodową krzepę”.

Przez długi czas walczyły ze sobą o „rząd dusz” dwa dzienniki: endecki „Głos Lubelski” i liberalno-piłsudczykowska „Ziemia Lubelska”. Były poza tym mutacje dzienników społecznych – najpierw „Ekspresu Porannego”, następnie „Kuriera Porannego”, w ostatnich latach także „Robotnika”. „Ziemia Lubelska” zakończyła swój żywot w grudniu 1931

z przyczyn najzwyczajniej prozaicznych: plajta, czyli bankructwo. Redakcja nie chciała pójść na ścisłą współpracę z „sanacją”, a bez tego baza finansowa wydawnictwa była niewystarczająca.

W następnym roku założono „Kurier Lubelski”, mający wypełnić powstałą lukę. Redaktorem naczelnym został znany poeta Józef Czechowicz. Dziennik był mały, niewyraźny, tyle że dział literacki stał na bardzo wysokim poziomie. Ale to nie starczyło. Więc znowu bankructwo. W roku 1937 wznowiłem go – bez powodzenia. Źle obliczyłem się z funduszami, naiwnie zawierzyłem paru rzekomym mecenasom, którzy naturalnie zawiedli. A więc jeszcze jedna plajta.

Wielce malowniczym epizodem stał się krótki żywot „Nowej Ziemi Lubelskiej”, założonej w 1932 roku przez majora w stanie spoczynku, Tadeusza Zajączkowskiego. Stary piłsudczyk, nie pamiętam czy legionista, na pewno peowiak, człowiek kryształowo uczciwy, stuprocentowy ideowiec, ale polityczny Don Kichot, goniący za urojonymi wiatrakami, ubrał sobie, że w prowincjonalnym dzienniku dokona wielkiego przewrotu, mianowicie u s a n u j e „sanację”! Może w zasadzie miał sporo racji; taktykę wybrał wręcz zwariowaną, atakując drobne płotki, jak gdyby to one mogły nadawać główny ton życiu społeczno-politycznemu! Gdy po tylu latach przypominam sobie owe wydarzenia, dochodzę do wniosku, że „Nowa Ziemia Lubelska” usiłowała iść po linii, którą na krótko przed wojną, na Zjeździe Legionistów, określił dokładnie generał Kazimierz Sosnkowski: „Czas powrócić do ideałów naszej młodości”.

Postulat ten przyszedł o wiele za późno. Major Zajączkowski miał autorytet w skali powiatowej, a poza tym okazał się kiepskim graczem. Nic dziwnego, że przegrał z kretesem. „Głos Lubelski” będący wykładnikiem miejscowej endecji triumfował. Jakże by nie?!

Małeńkie wspomnienie osobiste. Zjawiałem się wcale często na łamach „Głosu”, przy czym za każdym razem występowałem w cudzysłowie jako „poeta”. Przyszedł styczeń 1937 roku, otrzymałem Nagrodę Młodych Polskiej Akademii Literatury za tom wierszy; „Głos Lubelski” pominął tę wiadomość milczeniem, nagrody dla poety nie było, ale pogardliwy cudzysłów odpadł. Ideologiczna elegancja!

Ale zdarzały się ze strony endeków gesty szlachetne, które należy dla potomności zachować, tym bardziej że opinia wychodzi ode mnie, *ergo* od ich zdecydowanego wroga. Kiedy tenże „Głos Lubelski” pozwolił sobie na obelżywą notatkę o moim ojcu, ponieważ był rosyjskim oficerem, ostro zareagował dr Skibiński, jeden z najstarszych endeków

w Lublinie, a znający dobrze całą moją rodzinę. Atak „Głosu” był o tyle nonsensowny, że przecież jeżeli chodziło o wojskowych, wszystkie endeckie świątki – Dowbor-Muśnicki, Rozwadowski, Haller, etc. – pochodziły z armii zaborczych. Reakcja dr. Skibińskiego była skuteczna i na jakiś czas zatkała gardło redaktorom „Głosu”. Niechże tej prawdzie stanie się zadość.

Muszę wspomnieć jeszcze o dwóch lekarzach, którzy w tamtych odległych czasach odegrali poważną rolę w życiu Lublina. Jednym z nich był dr Jan Arnsztajn, żonaty z poetką Franciszką z Meyersonów. Był wziętym lekarzem, a jednocześnie filantropem. Od pacjentów zamożnych brał wysokie honoraria, ubogich leczył za darmo; co więcej, wystawiał tym najuboższym recepty do apteki z adnotacją: „rachunek przedstawić lekarzowi”. Gdy umarł, za jego trumną szedł tysięczny tłum: Polacy, Żydzi, przedstawiciele wszystkich warstw społecznych Lublina.

Pani Franciszka czuła się chrześcijanką, ale nie chciała przyjąć chrztu. „Jeżeli to uczynię, pochowają mnie na cmentarzu katolickim, a ja chcę leżeć na kirkucie, obok Janka”. To życzenie nie spełniło się. Na samym początku wojny, wkrótce po kampanii wrześniowej, Arnsztajnowa przeniosła się z Lublina do Warszawy, do krewnych. Gdy wybiła godzina likwidacji warszawskiego getta, pani Franciszka ubrała się w swoją najpiękniejszą, jedwabną suknię, przypięła do niej posiadane ordery, między innymi Polonia Restituta i Złoty Krzyż z mieczami (to za udział w POW) i zażyła truciznę. Kaci z SS znaleźli jej martwe ciało w fotelu. Wrzucono ją do wspólnego grobu, nie spoczęła, jak chciała, na lubelskim kirkucie obok Jana Arnsztajna. Ci, którzy ją znali w Lublinie, wiedzą, że była wielką panią, szlachetną kobietą i kulturalną poetką. Został po niej między innymi tom wierszy o Starym Mieście w Lublinie, napisany razem z Józefem Czechowiczem. Lubiła mnie, choć często krytykowała: „Pan jest jak jedwabna chusteczka, której używają do szorowania brudnych podłóg!”. Możliwe...

Równie wielką popularnością cieszył się dr Biernacki, który na starość przestał leczyć, ale uważany był za nieomylnego diagnostyka. Gdy inni lekarze mieli choćby minimalne wątpliwości, zwracali się do niego i Biernacki nigdy nie pomylił się w diagnozie. Za młodu praktykował w Nałęczowie, poznał tam Stefana Żeromskiego i wkrótce nawiązała się między nimi prawdziwa przyjaźń. Myślę, że niektóre cechy doktora Judyma z *Ludzi bezdomnych* wielki pisarz skopiował z Biernackiego. Ten do polityki bezpośrednio się nie wtrącał, ale jego sympatie osobiste

nie ulegały wątpliwości: był umiarkowanym liberałem i zwolennikiem Piłsudskiego, tego sprzed zamachu majowego.

Dla równowagi wypada wymienić jeszcze jednego lekarza, dr. Majewskiego, wieloletniego prezesa miejscowego Stronnictwa Narodowego i twórcy „Straży Narodowej”, organizacji quasi-militarnej, która zajmowała się głównie prowokowaniem ekscesów antyżydowskich. Została zlikwidowana po maju 1926. Ale w śródmieściu „endecja” aż do końca była siłą dominującą. Natomiast na wsi podlubelskiej jej wpływy były nadal minimalne, choć w ostatnim okresie przed wojną zaczęły z lekka rosnać.

Cztery Lubliny (II)
N8, k. 75–80 v.

Została po niej tylko nazwa...

Po pierwszych klęskach armii rosyjskich w roku 1914 stawało się coraz bardziej oczywiste, że Kongresówka zostanie zajęta przez Niemców. Wtedy moja matka powzięła decyzję: przenosimy się na czas wojny do Moskwy. Takich uciekinierów (zwanych po rosyjsku *bieżeńcy*) było w dawnej stolicy mnóstwo i cieszyli się dość dużą sympatią moskwiczów. Nastroje były na ogół propolskie. Opinia społeczna przewidywała możliwość wybuchu powstania w Kongresówce, a gdy nie nastąpiło i nawet mobilizacja przeszła dość sprawnie, na polskich uchodźców patrzono przychylnie.

Starsze siostry zaczęły kolejno chodzić do gimnazjum, ja byłem na to za mały i na razie uczyłem się w domu i wkrótce opanowałem czytanie i pisanie w dwóch językach jednocześnie. Listy od ojca, który był na froncie, przychodziły regularnie; parę razy zjawił się w Moskwie osobiście na krótkie urlopy.

Chociaż dzieci, bacznie śledziliśmy wydarzenia wojenne. Zdarzyło się, że popsuła się moja ulubiona zabawka; uprosiłem matkę, by mi kupiła taką samą. Idziemy do sklepu, okazuje się, że jest droższa dwukrotnie niż za poprzednim razem. „Dlaczego – dziwi się matka – przecież minął zaledwie miesiąc?”. „Tak, *madame* – tłumaczy uprzejmy subiekt (*p r i k a z c z y k*) – ale właśnie Niemcy zajęli Warszawę; najlepsze zabawki przychodziły z warszawskich fabryk”.

Już w drugim roku wojny sytuacja żywnościowa zaczęła się psuć, a po pierwszej mieńszewickiej rewolucji (luty 1917) i abdykacji Mikołaja II popsuła się całkowicie. Brakowało wszystkiego: mąki, cukru, tłuszczów. Jakoś późną wiosną tegoż roku przyszedł list od znajomych, którzy uprzednio wyjechali na Północny Kaukaz. Pisali, że wszystko tam jest jak za dobrych, przedwojennych czasów: obfitość i taniocha. Zachęcali do

przyjazdu. Matka nie wahała się ani jednej chwili. Po kilku tygodniach, potrzebnych na likwidację mieszkania, sprzedaż rzeczy i spakowanie się, dalekobieżny pociąg Moskwa–Jekatierinodar. Przesiadka w Sosyce, jeszcze pół dnia, wyładowaliśmy się w mieście Jejsku, na brzegu morza Azowskiego. Duży, rybacki port poza murowanym śródmieściem, rozległe ogrody i sady, w nich parterowe, jednorodzinne domki.

Od małego byłem niezmiernie ciekawy świata i ludzi. Od razu zwróciło moją uwagę, że mieszczanie mówią dziwnym językiem; niby rosyjski, a wielu słów nie rozumiałem, np. baba krzyczy do córki: „*Natałka, ty czto, skazyłaś?*”. Dlaczego „*z uma soszła*” (zwariowałaś)? Dopiero matka mi wyjaśniła, że miasto jest otoczone przez kozackie stanice, gdzie zachowała się czysta mowa ukraińska, bo przecież Kozacy kubańscy to potomkowie dawnej Siczy Zaporoskiej. Stąd w języku jejskich mieszczan liczne naleciałości ukraińskie.

Zacząłem szukać odpowiednich lektur i wkrótce dokładnie zostałem zorientowany w historii i rzeczywistości tego kraju. Po zlikwidowaniu Siczy przez wojska Katarzyny II niedobitki Zaporozców zostały po pewnym czasie przeniesione na stepy nadazowskie, między rzeki Kubań i Jeję. Przedtem koczowało tam wojownicze plemię Nohajców, w ciągłych konfliktach z sąsiednimi Kałmukami oraz osiadłymi bardziej na południe Czerkiesami (Adygie i Kabarda). Suworow wyciął ich w pień i na opustoszałe stepy przybyli owi Kozacy ukraińscy. Budowali stanice i nadawali im nazwy kureni, do których należeli: Humańska, Perejasławska, Połtawska itd. Kiedyś pewna literacka pani, pisząc o moich powieściach, zakwestionowała ukraińskie pochodzenie tych Kozaków, twierdząc, że wszyscy oni mówili wyłącznie po rosyjsku. Specjalistka!

Gdzie jak gdzie, ale stare i wielce oklepane powiedzenie o „ziemi mlekiem i miodem płynącej” właśnie tu, na kozackiej Kubańszczyźnie, miało pełne zastosowanie. Wspaniała czarnoziem, niekiedy głęboki na kilka metrów, rodził pszenicę tak wybujałą, że jeździec na koniu ginął w niej jak w lesie. Zatrzęsienie owoców: morele, brzoskwinie, rodzaj śliw, zwanych ł y c z ą , a przede wszystkim mnóstwo znakomitych kawonów i melonów. Gdy Kozak przywoził je na targ na dwukołowej, wysokiej arbie, sprzedawał po dziesięć sztuk, pojedynczo nie chciał, zabierało zbyt dużo czasu. Kawonami tuczono nierogaciznę. Domowego ptactwa gospodynie nie potrafiły się doliczyć. Oczywiście, konie i bydło rogate.

Lud był dorodny, szczery, przyjazny, rozmiłowany w starych obyczajach przyniesionych z Ukrainy z głębi XVIII stulecia[a]. Chadzałem

często wraz z siostrami do sadowników po owoce, głównie morele. Trzęśliśmy drzewa sami, zbierając do koszyków i dopiero wtedy morele szły na wagę; to, cośmy w międzyczasie zjedli, nie liczyło się. A objadaliśmy się niewąsko. Morze było płytkie, w limanie woda tak gęsta od soli, że nawet nieumiejący pływać utrzymywali się bez trudu na powierzchni. Roiło się od byczków, bardzo smacznych, niedużych ryb o wielkich łbach, stąd zapewne ta nazwa.

Rewolucja bolszewicka początkowo niewiele tu zmieniła. Władza w Jejsku znalazła się w rękach ludzi miejscowych, wszyscy się znali nawzajem, do poważniejszych represji nie dochodziło. Ten pierwszy okres trwał krótko. Kozacy kubańscy, słusznie podejrzewając, że bolszewicy próbują odebrać im część posiadanej ziemi, burzyli się, aż wraz z powstaniem tzw. „Białej Armii”, pod dowództwem generałów Kornilowa, Markowa, Drozdowa, wybuchło powszechne powstanie. Nie pamiętam dokładnej daty, ale był piękny, słoneczny dzień, kiedy do Jejska wdarł się zagon kozacki pod atamanem Pokrowskim („at, komunik kilkusetkonny!” – jakby powiedział którykolwiek z sienkiewiczowskich bohaterów).

W lecie 1919 roku wyglądało na to, że bolszewizm zostanie zduszony, „*Ich piesienka uże spieta!*” („Już odśpiewali swoją piosenkę”) – to była powszechna opinia. I gdyby na czele ruchu białogwardyjskiego stali ludzie o jako takim rozeznaniu politycznym i jasnej wizji historycznej, istotnie po rewolucji bolszewickiej pozostałoby tylko złe wspomnienie. Niestety chcieli, że Kornilow, człowiek mający takie rozeznanie, zginął na samym początku, a na jego miejsce przyszli tacy jak Denikin, Aleksiejew, baron von Wrangel, alkoholik Maj-Majewski. Zasadnicze błędy polityczne, rażące pomyłki natury wojskowej doprowadziły do rychłej katastrofy.

Jakże ten bogaty kraj, w którym w ciągu stu kilkudziesięciu lat nikt nie uświadczył głodnego czy niedożywionego człowieka, wygląda obecnie? Ale zanim do tego dojdę, kilka słów o jego dziejach po roku 1920, gdy ruch białogwardyjski załamał się ostatecznie najpierw na Ukrainie, Donie i Północnym Kaukazie, następnie – na Krymie. Masowych represji wobec kozackich stanic jeszcze nie stosowano. Jeszcze trwała wojna z Polską i Czerwonej Armii nie stać było na ponowne tworzenie drugie[go] frontu. Zaczęło się dopiero w roku następnym, dokładnie – pod koniec lata, po żniwach.

Miasta już były wygłodzone, nie tylko tu – wszędzie! Opustoszały wsie na całym Powołżu: setki tysięcy chłopów wyruszyły

w zachodnio-południowym kierunku, uciekając przed głodową śmiercią. W Rostowie nad Donem, gdzieśmy się zatrzymali na dwa tygodnie, zanim podstawiono eszelon, który nas zawiózł do Polski, na każdym kroku zdarzało się widzieć trupy nieszczęsnych Powożan.

Kozacy kubańscy nie chcieli dostarczać żywności do miast. Nowe sowieckie pieniądze, które im proponowano, nie miały żadnej wartości, zresztą nie było nic do kupienia (aż do NEP-u). Wtedy zaczęły się przymusowe rekwizycje. Udawały się albo nie. Zdarzało się, że z komisji rekwizycyjnych, wyjeżdżających do stanic, nikt żywcem nie wracał. Sam widziałem wóz, naładowany pszenicą oraz uciętymi łapkami kurcząt. Na górze poukładano zabitych. Oszczędzono tylko jednego, by powoził niesamowitym transportem. Przypięto mu do munduru arkusz papieru z szyderczym napisem: „Rekwizycja wypłacona w całości!”

Ale bywało także wręcz odwrotnie. W drugiej połowie sierpnia co noc oglądaliśmy na widnokręgu olbrzymie łuny, to płonęły pobliskie niepokorne stacje: Staromińska, Staroczczerbinowska. Rozpaczliwy opór został wszędzie złamany; przewaga liczebna i techniczna była zbyt wielka. Kubańszczyzna poniosła w latach 1920–1922 ciężkie straty, ale jeszcze nie została ranna śmiertelnie. Takie rany zostały zadane dopiero w latach przymusowej kolektywizacji. W Rosji etnicznej opór zdarzał się, ale nigdy nie przybrał charakteru masowego. Na Ukrainie i Północnym Kaukazie – tak.

Kozacy kubańscy, podobnie jak chłopci ukraińscy, ginęli z głodu, tysiące poszły do łagrów. Inni zginęli w otwartej walce: stacje były bombardowane przez lotnictwo, atakowane przez oddziały pancerne. Praktycznie – Kozaczyzna zginęła. Resztki jeszcze wzięły udział w drugiej wojnie światowej, ale po stronie... niemieckiej. W Korpusie Kozackim, który aż do końca walczył po stronie III Rzeszy, Kubańców było już niewiele; przeważnie – Dońcy. Wszyscy zostali wiarołomnie wydani Sowiecom przez Anglików. Legendarny ataman Szkuro, bohater antybolszewickiej wojny 1918–1920, został stracony w okrutny sposób w Moskwie wraz z dońskim atamanem Krasnowem.

Polski czytelnik może się zdziwić. Dlaczego żałuję tych Kozaków? Przecież poszli za Hitlerem, dopuścili się zdrady! To byli ludzie prości, którzy przez lata całe cierpieli w sowieckim piekle, zaś o Niemcach, o zbrodniczym rasizmie nie mieli żadnego pojęcia. Słuszna nienawiść popchnęła ich w wybranym kierunku. To była ich tragedia, zawiniona w równej mierze przez sowiecki komunizm, jak przez niemiecki hitleryzm. Dodatkowe

wyjaśnienie dotyczące nie tylko Kozaków. Co krymski Tatarzyn, Kałmuk znad dolnej Wołgi i Manycz, Czeczeniec znad Tereku wiedzieli o hitleryzmie? Tyle co nic! Tyle że Niemcy walczą z Sowietami, ze Stalinem, a więc także z NKWD, z kolektywizacją, a wiedząc o tym, nie zdawali sobie sprawy, że wybierają się wypędzać jednego diabła przy pomocy drugiego szatana.

A już na pewno nie mogli się domyślić, że wydadzą ich w łapy oprawców zachodni dżentelmeni, w których uczciwość i szczerłość wierzyli. Generał Krasnow cały czas łudził się, że brytyjski dowódca, z którym był niegdyś w dobrej komitywie, nie zawiedzie jego ufności. Aż skonał na moskiewskim szafocie, powieszony na haku za żebro.

Porównajmy dwie mapy etnograficzne: jedną sprzed pierwszej wojny światowej, drugą, oficjalną, sowiecką, z roku 1970. Na pierwszej cały obszar od morza Azowskiego po płaskowzgórze Stawropolskie i od rzeki Jeji po doliny południowych dopływów Kubani jest zalany tą samą barwą co Ukraina – panował tam język ukraiński, gdzieniegdzie tylko widniały maleńkie wysepki, np. ormiańscy mieszkańcy Armawiru. Dziś jest to obszar narodowościowo mieszany, ale z wielką przewagą ludności rosyjskiej. Mówiący po ukraińsku stanowią zdecydowaną mniejszość. Kozaków nie ma, choć jeszcze się tam nosi tradycyjne czerkieski i papachy; bolszewicy kochają się w takich maskaradach.

A teraz najwyższy czas odpowiedzieć na zadane powyżej pytanie: „Jakże ten bogaty kraj wygląda obecnie?”. Wszystkiego nie wiem, ale tego i owego mogłem się dowiedzieć; także ze statystyk oficjalnych, w tym wypadku całkowicie prawdziwych. Znaczna część powierzchni obejmuje uprawa winnej łązy i ryżu. Winogrona – rozumiem; wielkie nasłonecznienie, upalne lato. Ale ryż...! Przecież wymaga wilgoci, podmokłych pól, rzecznych rozlewisk, czyli właśnie tego wszystkiego, czego na Kubańszczyźnie brakuje! A jakie są wyniki? Przeciętny zbiór wynosi 40 (czterdzieści) centnarów z jednego hektara, czyli połowa tego, co np. w Korei, z tą dodatkową różnicą, że kubański ryż jest bardzo podłego gatunku. To bardzo typowe dla polityki rolnej. Ludność skazana na jednostronne gospodarstwo jest całkowicie bezbronna, bo całkowicie uzależniona od administracyjnej dystrybucji. W republikach środkowoazjatyckich uprawia się niemal wyłącznie bawełnę, a kubańscy kołchoźnicy mają do dyspozycji wyłącznie ryż i winogrona.

Przypominam sobie, że po powrocie ze swej wyprawy do Ameryki nieboszczyk Chruszczow zapowiedział błyskawiczną rywalizację ze

Stanami w dziedzinie hodowli bydła rogatego. „Dogonimy i przegoniemy!”. Kubańszczyzna miała dogonić i przegonić Iowę, najbogatszy stan pod względem hodowlanym. Biedny Nikita zapomniał, że na Kubańszczyźnie prawie nie ma pastwisk, bo cała powierzchnia jest zajęta przez winnice i pola ryżowe.

A jak bez pastwisk rozwinąć intensywną hodowlę bydła? Nie ma krów ani cieląt, nie ma baranów, nierogacizny bardzo mało, natomiast ptactwa domowego sporo: kury, gęsi, indyki, bo te są najłatwiejsze do wyżywienia.

Ale ceny rynkowe – potworne. Kura kosztuje od dziesięciu do dwunastu rubli, gęś – do dwudziestupięciu, indyczka – pięćdziesiąt rubli. Jak często może sobie na to pozwolić robotnik zarabiający dwieście, czy nawet trzysta rubli miesięcznie? Nie ma bydła, więc także nie ma mleka, sera, masła. Aby zdobyć się na takie delikatesy, kołchoźnik musi jechać do większego miasta i kto wie, może po dłuższym staniu w kolejce, kupi ćwierć kilograma masła (kilogram od trzech do czterech rubli).

Przed rewolucją było wszystko. Teraz nie ma niczego, a najważniejsze, że nie ma tamtych ludzi. Nie ma Kozaków kubańskich. Pozostała po nich tylko nazwa i historyczne wspomnienie. Jeszcze jedna zbrodnia, o której nikt nie chce słyszeć i wiedzieć.

Została po niej tylko nazwa...

N11, k. 81–93 v, 83 r. Pdr.: *Została po niej tylko nazwa...*, „Tydzień Polski” 1980, nr 21.

Spotkanie w Nicei

Gdy wojna dogorywała, byłem w Paryżu. W kilka dni po kapitulacji III Rzeszy wybrałem się w sprawach prywatnych do Nicei. Tam dowiedziałem się wszystkich szczegółów dotyczących tragicznej śmierci przyjaciół: Sabiny Straszyńskiej („Bożeny”) i Witolda Contiego, popularnego w dwudziestoleciu niepodległości aktora filmowego; oboje zginęli podczas bombardowania okolic Simeiz przez lotnictwo brytyjskie działające z baz włoskich.

Ale piszę nie o tym. Spotkanie, o którym mowa, wypadło dość zabawnie, a jego bohaterem stał się żołnierz amerykański polskiego pochodzenia (naturalnie, ze starej emigracji zarobkowej). Był pogodny, majowy wieczór. Francuzi, jak ogólnie wiadomo, jadają we wczesnych godzinach. Około siódmej szliśmy we dwoje (byłem w towarzystwie miłej pani) do pobliskiej restauracyjki. Rozmawialiśmy – ani głośno, ani po cichu, tyle że na odległość kilku kroków było nas słychać. Zbliży się jakiś drągal w amerykańskim mundurze.

– Wyście Polaki? – pada obcesowe pytanie.

– Owszem, jesteśmy Polacy.

– Bo moja matula i ociec ze starego kraju. Ja zaś urodzony w Ameryce, w stanie Iowa – słyszeliście? Dokąd idziecie?

– Na kolację.

– To ja z wami, dobra? Ale nie bójta się, ja za siebie zapłacę, ile będzie trzeba.

Idziemy, rozmowa początkowo się nie klei, nasz amerykański Polak rozgadał się dopiero w restauracji. Młodzik, zmobilizowany w 1942, pancerniak, ma za sobą nie byle jaki szlak bojowy, od lądowania w Normandii aż po sforsowanie Renu i dotarcie do Weimaru. Teraz przyjechał na krótki urlop do Nicei.

Powiadam mu, że chyba w ciągu tych kilku ostatnich dni wojny większych walk nie było.

– Ale! – śmieje się. – Jeszcze na dzień przedtem w jednej wiosce stracili my cztery tanki. Szczeniaki z Hitlerjugend siedziały w ogrodach i pruli do nas z pancernaustów. A jak dużo przedtem stanęli my w innej wiosce na odpoczynek, dowiedziałem się, że są tam Polaki: dziewczyna i dwóch chłopaków, co ich Hitler na roboty wywiózł. Pogadałem z nimi, to się poskarżyli, że ich bauer źle traktował. Pokazali który. To było koło studni i obok stało wiadro z wodą. Zaraz żem sobie przypomniał, że to był lany poniedziałek, wicie, drugi dzień świąt. A wiedział dobrze, jaki jest w kraju zwyczaj, bo nam matula opowiadali. Niewiele myśląc, złapałem wiadro, zawołałem „śmigus dyngus” i wsadziłem bauerowi na łeb. To koledzy boki zrywali, że tak śmiesznie wypadło.

Długo obracał w palcach jadłospis, niewiele z niego rozumiejąc.

– A co? – zagadnął. – U was w kraju umieją jeszcze robić pirogi z kapustą i grzybami. Nasza matula coraz to je gotuje...

Ucieszył się, gdy usłyszał potwierdzenie.

– A tu tego ni ma?

– We Francji ich nie znają.

– A ja słyszał, że francuska kuchnia najlepsza na świecie. To musi być jakieś matactwo i oszukaństwo, jak pirogów z kapustą i grzybami nie potrafią nagotować. Tera nie będę im wierzył!

Rozbawiony pytam, co jeszcze lubi z polskich potraw.

– O, wszystko! Także pirogi z serem i ziemniakami. I barszcz. I grochówkę z kiełbasą. I kluchy takie czy inne. A także pirogi leniwe. Wicie, co to jest? I jeszcze kasza ze skwarkami! Sąsiedzi do nas przychodzą, różne, Amerykańce, Ajrysze – nachwalić się nie mogą.

Takeśmy sobie gwarzyli przez dłuższy czas i nasz pancerniak wydawał mi się coraz sympatyczniejszy. Ale podczas deseru zaczął kręcić się niespokojnie na krześle, aż nie wytrzymał.

– Ładna ta twoja dziewczucha, bardzo mi się spodobała, ale widzę, że zajęta. Zapytaj, może ma koleżankę, co by mnie dopuściła. Taką mam chęć, że już wytrzymać nie mogę. Z Niemkami było łatwiej, bo na żarcie i papierosy łase, a tu nic, że rozmówić się nie potrafię. Zapytaj ją!

Wytłumaczyłem mu, że po pierwsze to nie żadna dziewczucha, lecz mężatka, a po drugie, że w dzielnicy portowej znajdzie niejedną chętną – wystarczy pokazać dolarowy banknot.

– To ja wiem, koledzy mnie już nie raz ciągnęli. Ino nie chcę z byle zdziirą. O, taka jak ta twoja blondynka byłaby w sam raz.

Moją towarzyszkę wyraźnie bawiła ta rozmowa. Amerykański Polak miał żalostną minę i ciężko wzdychał niczym pan Longinus Podbipięta przyglądający się Anusi Borzobohatej. Zmieniłem temat i przeszliśmy do polityki.

– U nas niektóre powiadają, że na tym nie koniec, że jeszcze z Ruskim się pobijemy. A wy co na to? O generale Pattonie – był taki, ale zginął i już nie żyje – słyszeliście? Mówili, że jak się rozpędził, to przez czeski kraj przeskoczył i do naszego kraju chciał się dostać, że tam partyzantów mocna kupa. A znowu inni gardłują, że jakeśmy ze Szwabem skończyli, to czas do domu powracać i ni ma co nowego guza szukać. A wy Ruskich znacie? Co to za ludzie? Można z nimi żyć?

Powoli a ostrożnie klaruję mu całą prawdę. Słucha uważnie, niekiedy zgadza się, kiedy indziej widzę w jego oczach błysk niedowierzania. Wreszcie przerywa mi dłuży się wykład.

– To by z tego wychodziło, że nasz prezydent, i ten terażniejszy, i ten, któremu się zmarło, a i nasi dowódcy – to głupie ludzie, co się dają Ruskim w pole wywodzić... Nie tak?

– Głupie, nie głupie... – staram się łagodzić. – Są nie dość zorientowani.

– Że niby jak? Że nie wiedzą, co czynią? Jak to Chrystus prawil na Golgocie, że nie wiecie, co czynicie, tak?

Ostrożnie potwierdzam. I pytam go, czego by chciał... Waha się, potem mówi, ważąc każde słowo.

– Mnie się cknę do matuli i oćca, a najbardziej do narzeczonej. Jakem ostatni raz do niej pisał, tom obiecował, że pobierzem się na gody. A jakby nowa bitka przyszła, to z wesela nic nie będzie. I może przyszyłoby zginąć.

– I jak nie opchać się pirogami z kapustą i grzybami! – wtrąca ironicznie urodziwa blondynka. Pancerniak poważnieje.

– Pewnie! Każdemu życie miłe. Ale jakby za stary kraj przyszył się bić, to bym zdrowia nie pożałował. Francuzów żeśmy wyzwali, Belgijczyków, Holendrów, a co oni mnie obchodzili? Ręka boska i modlitwy mojej matuli mnie strzegły, tom cało wyszedł. A wrócić do tanka za stary kraj bym się nie bojał.

Pytam, z jakich stron jego starzy. Okazuje się, że ojciec Podlasiak, z Łukowszczyzny, a matka puławianka.

– Chłopie! – mówię. – Toż ja te strony dobrze znam i nieraz tam byłem.

– O! – ucieszył się. – A jak tam, ładnie? Bo matula zawdy mówią, że nigdzie piękniejszego kraju nie uświadczy. Prawda to?

– Pięknych krajów na świecie nie brakuje. Puławskie strony ładne i bogate. Rola żyzna, borowiną ją nazywają, pszenica z niej strzela ku niebu jak las. Piękne bory, w nich grzybów i laskowego orzecha zatręsenie, a ku Wiśle zbiegają ogrody owocowe, śliwki węgierki wielkie jak pięści. Nie dziwię się, że pańska matula tę ziemię zachowała w pamięci. Dla niej najpiękniejsza, bo się tam urodziła i urosła.

– Ale w starym kraju biedy było za dużo i dlatego moi rodziciele przenieśli się do Ameryki. Powiadali mi, jak tam było.

– Nie tylko w Polsce tak było. Emigrowali ludzie z całej Europy. A najwięcej Irlandczyków, bo jak tam ziemniaki nie obrodzą, to głód skwierczący. Ich w Stanach więcej niż Polaków, Ajryszami ich nazywacie.

– A niezgodne są z nami. Pysznią się i wywyższają, a już ich księża najbardziej łakome na tłuste plebanie. Naszych, gdzie mogą, wypychają. Ale się im nie damy. Słyszeliście o takim Kusocińskim, co w Los Angeles złoty medal zdobył na Olimpiadzie, jakim był jeszcze mały chłopak?

– Jakże! To było w 1932 roku.

– Ano! – pancerniak znowu się ucieszył. – To zara wszystkie zaczęły o nas mówić inaczej. A żadnemu Ajryszowi to się nie przydarzyło! Gdzie im do Kusocińskiego! A co z nim tera? Żyje? Pewnikiem bardzo stary...

– Nie żyje. Niemcy go rozstrzelali w czasie okupacji.

– Kusego? Za co? Co on mógł zrobić?

– Głównie za to, że Polak.

– Jakbym wiedział, to bym inaczej Niemca potraktował. A tamtemu bauerowi tyle, zem wiadro wsadził na łeb. Trza go było trzasnąć na amen i do ziemi. Kusocińskiego Szwaby zabiły!

Rozmawiałby z nami chyba do późnej nocy, ale po długiej, więc uciążliwej podróży z Paryża do Nicei byłem zbyt na to znużony. Rozstaliśmy się na rogu Boulevard de Cimiéz. Już po odejściu kilkunastu kroków zawołał na nas. Odwróciliśmy głowy. Uśmiechał się szeroko i kiwał dłonią.

– A jakbyście kiedy wybrały do Stanów, to nas odwiedźcie! Adres wam dałem. Takie pirogi matula ugotuje, jakich żeście w życiu nie jadły. Zobaczycie!

Spotkanie w Nicei

N10, k. 24–33 r, 37 r. Brulionowa wersja tekstu, który ukazał się w cyklu „Worek Judaszów” na łamach „Wiadomości” 1980, nr 33.

[„Tu mówi Madryt”]

Gdyby audycja polska radiowej rozgłośni w Madrycie (Radio Nacional de España) nie została zlikwidowana, obchodzilibyśmy w styczniu przyszłego roku swoje trzydziestodwulecie. Ale przestała istnieć 20 grudnia 1975 roku, toteż wkrótce garść jej niedobitków będzie obchodzić pięciolecie jej zgonu. Zresztą, politycznie rzecz biorąc, było to umieranie powolne i dość bolesne. Jak to często ujmuje się w lapidarnych klepsydrach, „po długiej i ciężkiej chorobie”. O przedłużającej się agonii opowiem szczegółowo nieco dalej.

Swego czasu zamieściłem w „Kulturze” dwa artykuły, przedstawiające pierwsze kilkanaście miesięcy istnienia audycji i reakcję spowodowaną w kraju. Był to początek roku 1949; okres dość osobliwy, gdy nadzieje na rychłą odmianę losów w kraju jeszcze nie wygasły, łączono nadzieje z wojną koreańską i naprężeniem stosunków międzynarodowych. Free Europe jeszcze nie było, inne audycje zagraniczne w języku polskim były politycznie ciepłe, czyli nijakie, więc nadając od pierwszego dnia ostry ton, weszliśmy niejako w pustkę. Już po kilku tygodniach działania zaczęły napływać z kraju listy, ich ilość ciągle rosła – wymowne potwierdzenie, że przyjęliśmy właściwą orientację i zastosowaliśmy ton odpowiadający słuchaczom.

Opisałem to wszystko w artykułach, które ukazały się w „Kulturze” w numerach 11/37 (1950) i 5/43 (1951). Miałem tę satysfakcję, że obszernie ich streszczenie ukazało się w „Manchester Guardian” z dość przyjemnym dla mnie i całego zespołu komentarzem. Był to sukces, jeśli nie na skalę ogólną, to jednak dość ważną, bo mimo wszystko międzynarodową. O wiele większą satysfakcję dawały listy z kraju. Kto ciekaw, może przeczytać wyimki z owych listów, które zamieściłem w moich sprawozdawczych artykułach.

Zdarzały się inne świadectwa (Hłasko – kawał o oknach). W komunikatach Free Europe po jej powstaniu, a więc jeszcze na w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych, nieustannie potwierdzano powodzenie audycji madryckiej. W *Cmentarzach* Marka Hłaski mamy scenę, gdy milicja sprowadza aresztowanego, który będąc pod gazem, powiedział na ulicy coś niewłaściwego. Sam nie orientuje się, za co go wsadzili. Towarzysze nieszczęścia go indagują: „Pewnie słuchałeś radia Madryt?”. Do tego anegdota, za której autentyczność zresztą nie ręczę. Na jednej z centralnych ulic Warszawy zaczepia przechodnia inny przechodzień: „Przepraszam pana, która godzina?”. Ten zadziera głowę, patrzy do góry. „Dochodzi dziewiąta...”, „Skąd pan wie, w ogóle nie spojrzął pan na zegarek!”. „Nie było potrzebne. Patrz pan, wszyscy zamykają okna, zaraz usłyszą: »Tu mówi Madryt«, a więc dochodzi dziewiąta”. Godzinę zmieniano parokrotnie, ale okna zamykano punktualnie.

Audycja wybuchła nagle 11 stycznia 1949 roku. Dla szczupłej kolonii polskiej w Madrycie była niespodzianką, mało kto się tego spodziewał. Chodziły mętne wieści, że emigracyjny rząd londyński zabiega o powstanie takiej audycji, ale mało kto brał te nowinki na serio. Przyznaję się szczerze – należałem do niedowiarków, bo już miałem za sobą nienajlepsze doświadczenie. Zanim skończyła się wojna (brakowało niewiele miesięcy) przedstawiłem za pośrednictwem przyjaciół rządowi w Londynie plan utworzenia w Madrycie ośrodka polskiego, politycznego i kulturalnego. Odpowiedź była niedwuznaczna: „Sam pomysł jest dobry, ale w tej chwili nie aktualny, ponieważ reżym generała Franco zawali się natychmiast po zakończeniu wojny i odrodzi się republika, należy więc z realizacją tej inicjatywy poczekać jakiś czas”. Czekałem cierpliwie, ale rychło pozbyłem się wszelkiej nadziei. Franco utrzymał się przy władzy przez całe trzydzieści lat aż do śmierci.

Polski rząd emigracyjny w Londynie stracił uznanie tzw. sojuszników w lipcu 1945 roku; rząd generała Franco trwał od tej daty ponad trzydzieści lat. Różnie można to zestawienie interpretować. Ale faktem jest, że różnica była bardzo poważna. A pod adresem polskich polityków owych lat zgłosiłbym, gdyby jeszcze żyli – drobną uwagę: w roku 1945 mogli, zważywszy na specjalne okoliczności, wymagać, a nawet żądać; później znaleźli się już tylko w sytuacji petentów. Jeszcze jedno, o czym, jak się zdaje, nikt jeszcze nie napisał.

Na wiosnę roku 1942 hiszpański minister spraw zagranicznych, Serrano Suñer, zerwał stosunki z polskim rządem w Londynie. Stało

się to, rzecz prosta, pod naciskiem niemieckim, a Madryt wciąż obawiał się bezpośredniej interwencji hitlerowskiej. Po kilku miesiącach sytuacja uległa zasadniczej zmianie: klęski pod Stalingradem i El Alamein, lądowanie Anglosasów w Afryce – Hiszpanie przestali obawiać się Niemców. A po roku zaproponowali rządowi londyńskiemu (naturalnie drogą półoficjalną) ponowne nawiązanie normalnych stosunków dyplomatycznych. Polski Londyn propozycję odrzucił. Był przekonany, że losy generała Franco są przesądzone i nie należy z nim nie tylko się wiązać – nawet rozmawiać. Nie krytykuję racji ideologicznych, stwierdzam polityczną krótkowzroczność tej decyzji.

Nie wiem, kiedy polski Londyn zaczął myśleć o możliwości utworzenia niezależnej audycji polskiej w Madrycie. Do BBC, do „Głosu Ameryki”, Paryża i Watykanu nie miał łatwego dostępu; nadzieje wiązały się z Madrytem. Także nie wiem, kto i kiedy wpadł na ten pomysł i pod czyją inspiracją. Wiem tylko tyle, że w okresie sprawowania emigracyjnych rządów przez generała Odzierżyńskiego już myślano o powstaniu audycji poważnie. I nawet został wyznaczony na jej głównego redaktora Karol Wagner, doświadczony radiowiec z lat wojennych.

Jak już podałem, zawiadomienie [o powstaniu] audycji polskiej całkowicie zaskoczyło polskie władze w Madrycie. Kierownictwo Radia otrzymało odpowiednie dyspozycje i zwróciło się do półoficjalnego poselstwa polskiego w Madrycie z prośbą o współpracę. Nie znam wszystkich szczegółów, ale z grubsza mogę sytuację odtworzyć. Audycje antysowieckie i antykomunistyczne z radia hiszpańskiego były w owym czasie nieliczne i źle obsadzone. Najdziwniejszą z nich była audycja rosyjska, prowadzona przez byłych oficerów Białej Armii, którzy po klęsce 1919–20 znaleźli się w Hiszpanii. Ich orientacja polityczna – monarchistyczna.

Jeśli się nie mylę, a chyba mam rację, plan rozszerzenia radiowej propagandy antykomunistycznej i antysowieckiej na inne kraje wyszedł z najbliższego otoczenia generała Franco. Audycja polska przyszła w pierwszej kolejce, potem dochodziły kolejno następne: węgierska, rumuńska, trzech krajów bałtyckich, słowacka, chorwacka, ukraińska, białoruska, albańska, bułgarska – nawet chińska. Nam powiedziano: „Mówcie, co chcecie, byle wasza propaganda chwyciła”. Zaczęły przychodzić listy z Polski, tłumaczone skrupulatnie na hiszpański, uznano, że zdaliśmy egzamin. Stwierdzam z naciskiem: mieliśmy całkowitą swobodę, zaś próby ingerencji, o czym nieco dalej, mogliśmy bez trudu zlikwidować.

Zupełnie przypadkowo zostałem redaktorem audycji już po tygodniu po jej powstaniu. Zacząłem jako jeden ze współpracowników i miałem dostarczać jeden artykuł tygodniowo. Ale natychmiast okazało się, że ponieważ wyznaczony w Londynie na redaktora Karol Wagner opóźniał swoje przybycie, redakcji w ogóle nie było. Miał go zastępować Henryk Łubieński, ówczesny radca poselstwa w Madrycie, ale ten nie miał ani czasu, ani możliwości, bo dla zdobycia pieniędzy na życie musiał pracować w innej branży. Zresztą nie wierzył w powodzenie audycji: „Nie chwyci”. Wagner przyjechał dopiero przy końcu wakacji, a więc mniej więcej po sześciu miesiącach.

W tym początkowym i wstępnym okresie byłem ja, który audycji nadawał charakter, który też z niewielkimi zmianami także w późniejszym okresie był kontynuowany nadal. Okazało się rychło, że nie pomyliłem się, uderzając właśnie w taki ton, ani inny. Naturalnie, w zestawieniu z innymi audycjami prowadziliśmy robotę chałupniczą. Mieliśmy do dyspozycji zaledwie pół godziny dziennie. Trzeba było w tych trzydziestu minutach upchać wszystko, co było do powiedzenia – nie było to zadanie łatwe. A za kulisami toczyła się głucha, przez niewielu dostrzegana walka o opanowanie audycji przez jednego z luźnych współpracowników. To osobny rozdział, który powinien zainteresować przyszłych historyków emigracji. Zaraz do tego powrócę. Ale przedtem trochę chronologii i danych osobistych.

Wstępny okres, gdy praktycznie prowadziłem audycję, trwał nieco ponad pół roku, a więc bardzo krótko. Ale był to okres niezmiernie ważny, gdyż w jego granicach audycja zdobyła sobie popularność i zaczęła się liczyć. Wywoływała bezsilną wściekłość reżymu, który mógł zdobyć się tylko na coraz pilniejsze zagłuszanie. Wściekłe ataki prowadzone na samym początku szybko ustały, gdyż połapano się, że zwiększają popularność „Madrytu”. Od końca lata 1949, to jest od przyjazdu Karola Wagnera, zaczął się drugi okres trwający do roku 1955. Jeszcze przed przeniesieniem się Wagnera do Nowego Jorku (z czasem do Monachium) doszła współpraca Wojciecha Zaleskiego, który objął redakcję i prowadził ją aż do zgonu jesienią 1960. Trzecim redaktorem oficjalnym (praktycznie – czwartym) był, także aż do śmierci, Ludwik Krajewski, pisujący pod pseudonimem Leon Kownacki. Każdy z wymienionych miał własną indywidualność, zamiłowania i taką czy inną specjalność. Wagner był może najbardziej wszechstronnym, Zaleski znacznie podniósł poziom działu gospodarczego, Krajewski pilnie czytał poważne

czasopisma angielskie, amerykańskie i francuskie, a jego tygodniowe przeglądy polityczne odznaczały się wielką starannością i obiektywizmem (prawie zawsze).

Wspomniałem na samym wstępie, że w ostatnich latach zaczęła się powolna i bolesna agonia naszej audycji. Jak to tego doszło, chętnie opowiem. Wszystkie tzw. „audycje wschodnie” były od samego początku bezkompromisowo antysowieckie i antykomunistyczne. Nastawienie to pozostawało w harmonii z polityką międzynarodową rządu hiszpańskiego, który nie utrzymywał żadnych kontaktów, nawet gospodarczych, ani ze Związkiem Sowieckim, ani z żadnym z rządów „satelickich”. Postawa ta zaczęła stopniowo zmieniać się już przy końcu lat sześćdziesiątych. „Nie bądźmy błędnymi rycerzami w stylu Don Kichota!” – rozlegało się coraz częściej na łamach prasy i w opiniach poszczególnych polityków, a zwłaszcza ekonomistów, którym nagle przyśniły się bajeczne zyski, ciągnięte z wymiany handlowej z „blokiem socjalistycznym”.

Generał Franco starzał się i niedołęzniał, więc z jego strony nie było większego sprzeciwu. Zaczęło się od kontaktów handlowych; do rozmów politycznych było jeszcze daleko. Myślę, że polskich czytelników zainteresuje mała anegdotka z tamtych czasów. Gdy któryś z obywateli Polski Ludowej zamieszkały na Zachodzie starał się o wizę turystyczną do Hiszpanii, odpowiednie placówki konsularne czy dyplomatyczne zwracały się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a to z kolei prosiło o opinię urzędującego jeszcze w Madrycie posła emigracyjnego, śp. Józefa Potockiego. Jeżeli ten nie orientował się co do osoby petenta, telefonował do mnie. Przeważnie chodziło o dziennikarzy, rzadziej pisarzy i artystów. Utraciłem niejednego z nich.

Mijały lata. Któregoś dnia zjawił się w Madrycie osławiony korespondent prasowy w Rzymie, Ignacy Krasicki. Poszukał towarzystwa tutejszych Polaków i przy tej okazji trafił na mnie. Mówi, że już dawno chciał zwiedzić Hiszpanię i swego czasu obiecano mu wizę w Rzymie, ale w ostatniej chwili ją cofnięto. „Po dziś dzień nie wiem, co tę decyzję sprawiło”. Uprzejmie pośpieszyłem z wyjaśnieniem – „Ministerstwo zwróciło się do pana Potockiego, on – do mnie, bo o panu nigdy nie słyszał, chętnie wystawiłem opinię i w wyniku wizy pan nie otrzymał”. Kuty na cztery nogi facet zaczął mi wylewnie dziękować. „To pan sobie nawet nie wyobraża, jaką przysługę mi wtedy wyrządził! Gdybym był wtedy pojechał do Madrytu i nie został w Rzymie, to bym nie poznał mojej żony, którą jestem niezmiernie szczęśliwy! Dzięki,

raz jeszcze dzięki!”. Oczywiście, gość łąał, ale należało podziwiać przytomność umysłu, wykazaną w dość trudnej sytuacji.

Nie będę wymieniać wszystkich, którzy krócej czy dłużej pracowali w audycji. Niektórzy nie chcą, by ich wspominać – ich dobre prawo. Muszę wymienić Stanisława Rylskiego, który był sekretarzem audycji przez całe ćwierćwiecze. Początkowo jego rola była wyłącznie techniczna. To w okresie świetności audycji – nazwijmy to tak nieskromnie – miewaliśmy poważne osiągnięcia. Wojciech Zaleski wprowadził zwyczaj uprzednio nieznany. Już po zamknięciu audycji szedł do siebie i siadał przy aparacie radiowym, słuchając BBC, rozgłośni najbardziej solidnej, gdy chodziło o wiadomości. Czekaliśmy na jego telefon, by włączyć najświeższe wiadomości. Dzięki temu mogliśmy często podawać owe wiadomości wcześniej niż inne rozgłośnie. Tak np. byliśmy pierwsi w podaniu informacji, że czołgi sowieckie wróciły do Budapesztu, że Nagy uciekł do ambasady jugosłowiańskiej, zaś pułkownik Maléter, wraz z całym rządem, wpadł w ręce bolszewików. Lata później nadaliśmy wcześniej niż ktokolwiek inny, że prezydent Kennedy został zamordowany w Dallas. Mieliśmy przyjaciela w bazie amerykańskiej w Torrejón, który nas zawiadomił telefonicznie. Radio hiszpańskie podało tę wiadomość dopiero następnego dnia rano. To były sukcesy wyjątkowe, które zwiększyły nasz techniczny autorytet.

Wspomniałem o walce toczącej się w Madrycie przeważnie za kulisami albo i odbijającej się dość ściszym echem także w londyńskich kuluarach. Gdy wybuchła druga wojna światowa posłem w stolicy Hiszpanii był zawodowy dyplomata, Marian Szumlakowski. Jako się rzekło, wczesną wiosną 1942 rząd hiszpański przestał uznawać polski rząd w Londynie, ale w stosunku do poselstwa zachowano się przyzwoicie. Szumlakowski zatrzymał wszystkie przywileje dyplomatyczne, ale przestał być *oficial*, stał się *oficioso* – tolerowany, nieuznawany. Nie cieszył się zbytym mirem. Cat-Mackiewicz nazwał go w jednej ze swoich książek „dobrym technikiem”, zapewne nie bez racji. Ale gubiła go chorobliwa ambicja w połączeniu z brakiem skrupułów. Jak ów starożytny Pyrrus wygrywał poszczególne bitwy, przegrywał kampanie wojenne. W konsekwencji ostrego konfliktu z wojskowymi prowadzącymi tzw. „ewakuację” (przerzucanie Polaków z Francji przez Hiszpanię do Portugalii albo Gibraltaru) został odwołany ze stanowiska posła jakoś przy końcu roku 1943. Poselstwo prowadził przez kilka miesięcy radca Eugeniusz Kobyłecki, w lecie następnego roku przybył do Madrytu z Lizbony Józef

Potocki. Znający dobrze obce języki, skoligacony z prawie całą arystokracją europejską, do tego żonaty z Krystyną *de domo* Radziwiłłówną, wykształcony, amator historii cieszył się na swoim stanowisku ułatwieniami, o których Szumlakowski mógł tylko marzyć.

Ale ten drugi miał jedną przewagę, którą wykorzystywał na każdym kroku. Potocki był *oficioso*; Szumlakowski miał za sobą argument, że był ostatnim polskim ministrem, który w roku 1939, gdy jeszcze istniała suwerenna Rzeczpospolita, składał w jej imieniu listy uwierzytelniające szefowi państwa hiszpańskiego. Na tej podstawie uważał i wszędzie podkreślał, że jego odwołanie na schyłku roku 1943 było bezprawne, nominacja Józefa Potockiego nieważna i że to on, Szumlakowski, jest ostatnim polskim posłem w Madrycie. Od pierwszego dnia wypowiedział głuchą walkę nowemu posłowi, wykorzystując wszystkie możliwości, które miał pod ręką.

Gdy od grudnia 1946 roku zaczęli z różnych stron przybywać polscy studenci na studia w Madrycie, on usiłował ich skaptować przeciw Potockiemu, ale wyniki tego – mimo hojnych poczęstunków – były dość nikłe. Dopiero gdy urodziła się audycja radiowa, Szumlakowski uznał, że wybiła jego godzina. Godzina rewanżu i zwycięskiego załatwienia wszystkich porachunków.

Pisząc te słowa, zdaję sobie sprawę, że znaczna większość osób, które wymieniam, należy do świata umarłych. Ale pozostało jeszcze nieco świadków – niektórzy z nich bezpośrednio zaangażowani. Ci mogą potwierdzić albo zaprzeczyć – od ewentualnej konfrontacji na pewno się nie uchylę.

Władze radiowe poszły na organizację audycji w obcych językach drogą dość absurdalną, a jak późniejsza praktyka wykazała, najzupełniej chybioną. Wszystkie one miały jednego kierownika, któremu podlegał kierownik audycji wschodnich, więc między innymi polskiej. Była to postać niezmiernie malownicza, na pewno o najlepszych chęciach, ale o minimalnej orientacji i znajomości rzeczy, a więc summa summarum szkodliwej. Mówię o jezuitcie ojcu Santiago Morillo, który otrzymał owe stanowisko dzięki rzekomej znajomości języków słowiańskich. Przed wojną pracował w Dubnie, na znanej placówce jezuickiej Pro Russia i to mu dało sławę znakomitego orientalisty.

Z Polski wydostał się pod koniec kampanii wrześniowej, wyniósł bardzo złe wspomnienia z kontaktów z Niemcami, od niedobrych następstw uratowała go właściwie tylko jego kondycja Hiszpana. Po polsku

mówił dość swobodnie, choć z wielkimi błędami gramatycznymi; znajomość innych języków słowiańskich okazała się legendą. Dochodziło do zabawnych scen: gdy mówił po rosyjsku, Rosjanie sądzili, że przemawia po ukraińsku i vice versa Ukraińcy skarżyli się, że ich traktuje jako Rosjan. Przez wiele lat wykładał na Uniwersytecie w Granadzie, a na początku roku 1949 sprowadzono go do Madrytu na odpowiedzialne stanowisko radiowe, które już określiłem.

Szumlakowski znał go od lat i z miejsca postarał się o zamienienie znajomości na przyjaźń. Pod tym względem działał prawie zawsze nieomylnie. Niemniej, od razu popełnił zasadniczy błąd: wydało mu się, że ja także będę posłusznym narzędziem w jego ręku. Gdy okazało się, że nie, a po kilku starciach doszło do zerwania nawet prywatnej znajomości, zaczął mnie zwalczać *per fas et nefas*. Nie wyszło. Kierownictwo radia, stojące wyżej od ojca Morilla, przywiązywało wielką wagę do treści listów napływających z kraju. Otóż prawie we wszystkich chwalono moje teksty, które przeważnie czytałem sam, choć nie byłem *speakerem* (ale miałem prawo czytać). Mikrofon pogłębia mój głos, więc słuchacze uznali, że mówi do nich jakiś „starszy pan” i tak mnie w swoich listach nazywali. Tej racji nikt nie mógł obalić, a tekstów pisanych przez Szumlakowskiego nikt nie wymieniał.

Stale dochodziło do gwałtownych scysji, głównie z tej racji, że owe teksty Szumlakowskiego poprawiałem i zmieniałem (oraz jego małżonki, która także przez pierwsze lata była współpracowniczką), a gdy mi się to znudziło, wolałem pisać nowe artykuły. Następnie to samo robił Karol Wagner. Skutek był taki, że myśmy we dwóch pisali artykuły, które administracja rejestrowała pod nazwiskiem Szumlakowskiego i jego żony, więc otrzymywali za nie honoraria. Dopiero przyjazd generała Andersa umożliwił nam pozbycie się tego ciężaru i zapoczątkował ostateczny zmierzch Szumlakowskiego.

Zanim zdam z tego relację, pozwolę sobie przytoczyć parę przykładów, jak wyglądała współpraca radiowa byłego pośła. Opis konfliktu brytyjsko-perskiego zaczynał się następująco: „Do golfu Abadanu przybyły torpedowce angielskie z tankami i awionami na pokładzie i wystosowały ultimatum pod adresem Mossadeqa”. Chyba nikt się nie zdziwi, że „golf”, „tanki i awiony” poszły do kosza, a tekst na powyższy temat został napisany przeze mnie. I inny przykład, jeszcze bardziej reprezentacyjny. Pisząc o beznadziejnych walkach Armii Krajowej w lasach białostockich, Szumlakowski napisał, że NKWD i współpracująca z nią

bezpieka nie śmia zapuszczać się w lasy, bo jeżeli nie zginą od akowskich kul, to „rozszarpią ich dzikie zwierzęta i drapieżne ptactwo”. Miałem puszczać takie bzdury na radiowe fale?

W roku 1950 przyjechał do Hiszpanii generał Anders. Był zaproszony na Kongres Eucharystyczny do Barcelony, ale po drodze zawadził o Madryt. Generał Franco przyjął zwycięzcę spod Monte Cassino, jakby chodziło o szefa sprzymierzonej armii. Przydzielił mu w charakterze asysty na czas pobytu w Hiszpanii generała sprawującego ówczesnie funkcję ministra lotnictwa. Na specjalną prośbę władz Anders występował wszędzie i zawsze w mundurze ze wszystkimi odznaczeniami, a gdzie się ukazał, był przyjmowany entuzjastycznie. Szumlakowski nie wiedział, że generał jest do niego uprzedzony i bez jego wiedzy rozesłał zaproszenia na kolację. Otrzymali je ministrowie, wyżsi wojskowi, dyplomaci. Anders odmówił. Trzeba było bar wystawny bankiet odwołać i przeproszać zaproszonych. Zmyślonych *ad hoc* powodów odwołania nikt nie wziął na serio. Kompromitacja! Teraz nawet protekcja ojca Morilla pomoc nie mogła i po krótkim czasie małżeńska para Szumlakowskich znikła z programów radiowych. A nieco później spełniło się moje prorocтво, gdy na samym początku mówiłem ojcu jezuitcie, że kto stawia na niewłaściwego konia, prędzej czy później przegrywa. Jeszcze parę lat i Morillo przestał być kierownikiem audycji wschodnich.

List Morilla do Augusta Zaleskiego.

Sprawa odznaczeń.

Szumlakowski natychmiast zadziałał. Rozesłał do zainteresowanych i do redakcji dzienników listy, w których oświadczył, że wprawdzie wszyscy odznaczeni zasłużyli na to, ale zostali oszukani, Rada Trzech to uzurpatorzy, którzy nie mają prawa odznaczania nikogo, zaś Józef Potocki, który krzyże zasługi wręczał, nie jest żadnym posłem i występuje przeciw władzy prawowitego prezydenta. W ten sposób setki tysięcy hiszpańskich czytelników zostały wprowadzone w polskie konflikty emigracyjne. Nie potrzebuję dodawać, że w konsekwencji prestiż polskiego imienia w Hiszpanii niesłychanie poszedł w górę.

A na samym początku, zanim powstała Rada Trzech, mieliśmy nie-małe kłopoty z Londynem. Prezes Stronnictwa Narodowego Tadeusz Bielecki wygłosił całkiem dobre przemówienie, nadaliśmy z niego fragmenty. Przy innej okazji to samo uczyniliśmy z przemówieniem Adama Ciołkosza. Londyn zaprotestował. Bogu ducha winny poseł Potocki otrzymuje od ministra Sokołowskiego admonicję, że Bielecki i Ciołkosz

to opozycjoniści, więc jakim prawem?! A jakże, ja także dostałem po uszach. Zostawiono mnie w spokoju dopiero wtedy, gdy niezbyt grzecznie zawiadomiłem, że ostatecznie nie jestem urzędnikiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych. A skromne honoraria wypłacają mi Hiszpanie, którzy żadnych pretensji do wymienionych przemówień nie zgłaszają.

Zanim skończę tę Szeherezadę, jeszcze jedna anegdotka. Pierwszymi *speakerami* byli: Karolina Babecka de Borrell, pół Polka, pół Hiszpanka i zamężna za Hiszpanem, zresztą urodzona w Warszawie, oraz Mirosław Sokołowski, ówczesnie student medycyny w Madrycie, obecnie wzięty lekarz kardiolog. Nie wiem, skąd i jak rozeszła się w kraju pogłoska, że lektorką jest Wanda Piłsudska, która w ogóle nigdy o Madryt nie zawadziła. A po kilku latach prasa reżymowa puściła pogłoskę, że tą lektorką została Elżbieta Szemplińska-Sobolewska. Ta niezbyt szanowana osoba, która po kampanii wrześniowej w okupowanym przez Sowiety Lwowie wslawiła się artykułem *Dlaczego mi nie żal burżuazyjnej Warszawy?*, po wojnie znalazła się w Algierii czy też w Maroku, straciła męża w podejrzanym wypadku, następnie starała się o wizę do Hiszpanii, ale jej nie otrzymała.

A gdyby nawet dostała się wtedy do Madrytu, to o dopuszczeniu jej do mikrofonu nie byłoby rzecz prosta mowy. Objawiały się w późniejszych latach inne głosy kobiece i męskie, w większości wypadków przelotnie, a w latach ostatnich występowali już tylko mężczyźni. Omówione uprzednio okoliczności polityczne sprawiły, że czytało się z coraz mniejszym przejęciem i satysfakcją, a często-gęsto z coraz większą niechęcią. Bo to właśnie już była stopniowa agonia.

Reżym warszawski, który na wstępie zrobił nam niemałą reklamę swoimi atakami, potem zreflektował się i prawie nie zaczepiał. Jednak od czasu do czasu ktoś w niezbyt nieprzytomnej złości nie wytrzymał i puszczał farbę. Tak np. „Kultura” w odpowiedzi na rocznicową audycję (piąta rocznica) zamieściła fraszkę Włodzimierza Słobodnika zilustrowaną karykaturą, na której wystąpiłem w mundurze esesmana, ze swastyką na gardzieli. To był ulubiony konik, zwłaszcza w pierwszych miesiącach: audycja madrycka jest robiona przez niemieckich rewizjonistów i zaprzędanych im polskich zdrajców. Propaganda była kretyńska, bo przecież od pierwszego dnia staliśmy na stanowisku, że granica na Odrze i Nysie jest nienaruszalna. Więc bzdurne zarzuty szybko ustały.

Ale od czasu do czasu powracały niczym pijacka czkawka. Ba, ta czkawka przeniosła się z czasem do Londynu. Któregoś dnia, czytając

nieistniejącą już obecnie „Kronikę”, dowiedziałem się z niesłychaną radością, że większość pracowników audycji madryckich stanowią Niemcy. W redakcji „Kroniki” czasopisma był ówczesnie Marian Czuchnowski, co także należy zanotować, dla historii. Podobno obiecano mu wydanie w kraju wszystkich jego książek. Uwierzył, a gdy na jaw wyszło, że to kłamstwo, chciał wrócić do posady w Howe. Do Juliusza Sakowskiego udać się z tym osobiście nie śmiał, próbował okrężną drogą, ale bezskutecznie.

Okres masowego przychodzenia listów z kraju skończył się dość szybko. Reżym nakazał osobiste wręczanie listów wysyłanych za granicę w urzędach pocztowych. To ludzi przestraszało i odstręczało od ponoszenia ryzyka. Mało kto potrafił ten drakoński nakaz obchodzić (zapewne przy współudziale znajomych pocztowców); korespondencja gwałtownie spadła do zaledwie kilku procent. Mieliliśmy jednak dowody, że audycja jest nadal słuchana, mimo że wkrótce zaczęła działać potężna rozgłośnia Wolna Europa. Pierwszy większy kryzys nastąpił przy końcu roku 1956, mianowicie po „Październiku”. Nie dzieliliśmy euforii, która nastąpiła w kraju (i częściowo na emigracji) po dojściu Gomułki do władzy, i nie dołączyliśmy do chóru tych zdezorientowanych, którzy „towarzyszowi Wiesławowi” śpiewali „Sto lat!”. Okoliczność ta zredukowała ilość naszych słuchaczy i zwolenników. A już po kilku miesiącach przekonano się, że nasz pesymizm był uzasadniony.

Znaczny spadek popularności w latach następnych, a zwłaszcza poczynając od połowy lat sześćdziesiątych, był spowodowany głównie względami technicznymi. Zamiast na systematyczne zagłuszanie reagować wzmocnieniem siły nadawczej, zmniejszono ilość kilowatów. Powód? Podejrzewano różne rzeczy, niektóre dość brzydkie, ale nie sądzę, by miało rację. Nie było żadnego celowego sabotażu, po prostu zadecydowała niechęć do reform technicznych, które pociągnęłyby za sobą wzrost kosztów oraz obojętna abulia – obojętność. Wiem, że odbiór z biegiem czasu stawał się coraz gorszy, a często wręcz niemożliwy.

[„*Tu mówi Madryt*”]

N13, k. 28–39 r. Jest to wstępny szkic artykułu, który ukazał się później w nieco poszerzonej wersji w 1980 roku na łamach „Zeszytów Historycznych” (nr 54) pod tytułem „*Tu mówi Madryt*”.

Dlaczego zostałem w Hiszpanii

Pamiętam Madryt po raz pierwszy, gdy go zobaczyłem. Było to w lutym w 1943 roku. Wskoczyłem wtedy z więzienia w Figueras, nie wiedziałem, co będzie dalej. Sytuacja wyklarowała się dość szybko. Ówczesny poseł RP, Marian Szumlakowski, przekazał mi depeszę z Ministerstwa Spraw Międzynarodowych tej treści: „Zaproponować Łobodowskiemu wyjazd na wyspę Maderę w celu podreperowania zdrowia nadwyreżonego w hiszpańskim więzieniu”. Zapytałem Szumlakowskiego: „Co pan minister o tym sądzi?”. Uśmiechnął się: „Coś rodzaju Wyspy Węzów w luksusowym wydaniu”.

Zapewne nie wszyscy czytelnicy wiedzą, co to była Wyspa Węzów. Wyjaśniam: przysięgli demokraci na linii Sikorski – profesor Kot umieszczali na dżdżystej wyspie szkockiej wszystkich tych, których uznali za przysięgłych piłsudczyków, a więc wrogów przyszłej Polski demokratycznej. Nigdy nie mogłem się zorientować, jaki był polityczny rozdzielnik. Dlaczego przyjęto pułkownika Koca i generała Sosnkowskiego, a postarano się, by Ignacego Matuszewskiego zepchnięto aż na dno. Kiedy zjawiłem się w Paryżu, nie wiedziałem, o co chodzi. Ni stąd, ni zowąd Izydor Modelski nie chciał dopuścić mnie do Sosnkowskiego, a z drugiej strony Stanisław Stroński bronił mnie przed profesorem Kotem. Niby dlaczego? Minęły lata, zanim pojąłem, o co wtedy chodziło.

Ale najpierw, po co łąziłem wtedy po korytarzach tego wspaniałego hotelu „Regina”, w którym znajdowały się ministerstwa polskiego rządu emigracyjnego? Chciałem – idealistyczny idiota – pojechać do Kraju, konkretnie na Wołyń. Wiedziałem z góry – nie tak wielki głupiec – że dojdzie do rzezi polsko-ukraińskiej. I chciałem jej zapobiec, dureń, zapatrzony w hadziacką ugodę, myślący, że uda się pod okupacją sowiecką

doprowadzić do ugody polsko-ukraińskiej. Nie wyszło. Czy dlatego, że na tereny nie dotarł? Chyba nie, ani jedna strona, ani druga takiej ugody nie chciała. Jak mi ktoś, przybyły po latach powiedział: „Gdyby pan z taką inicjatywą wtedy do kraju przyjechał, zostałby pan zastrzelony z miejsca”. Nie przyjechałem i nie zostałem zastrzelony. Cóż za szczęście!

* * *

Na początku listopada 1939 po kilku kolejnych ucieczkach z maziarskich obozów internowania (Topolca, Nagykanizsa, Murakeresztúr) dotarłem do Zagrzebia i po krótkim pobycie w chorwackiej stolicy, już legalnie z paszportem i wizami, przez Wenecję, Mediolan i Modenę do Paryża. W Modenie miła siurpriza: na skutek decyzji p. ministra Stańczyka wymiana złotych polskich na franki została wstrzymana. Na dworcu Orleańskim wysiedliśmy we trzech obładowani złociszami, już najzupełniej bezwartościowymi. Rada w radę, od razu poszedłem do ambasady na Rue de l'Université.

Miałem szczęście. Po przejściu drzwi wpadam na wysokiego szczupłaka w meloniku. Nigdy przedtem nie zetknąłem się z Lechoniem, ale jego sylwetkę znałem na pamięć.

– Przepraszam, nie wiem, czy moje nazwisko coś panu powie... Nazywam się Józef Łobodowski.

– Ależ naturalnie... Kiedy pan przyjechał do Paryża? Zaraz zadzwonię do Kazia Wierzyńskiego. On stale o pana rozpytuje. To dopiero będzie dla niego niespodzianka!

Kiedy zjawiłem się w domu francuskiego PEN Clubu, Wierzyński był jeszcze w szlafroku. Szybko ubrał się, zarzucił mnie pytaniami.

– Jedziemy do Stanisława Strzetelskiego. Już się zapowiedziałem. To endekoid, ale bardzo przyjazny człowiek z dobrą głową na karku. Pan jest jedynym w tej chwili w Paryżu pisarzem polskim, który przeszedł przez kampanię wrześniową. To wielka przewaga w obecnej sytuacji.

Po drodze dowiaduję się, że Strzetelski, którego nie znałem, został wyznaczony na stanowisko naczelnego redaktora polskiego dziennika, który wkrótce zacznie wychodzić. Rozmowa była krótka i rzeczowa.

– Niech pan opisz swoje wrześniowe przygody. Jakież dwieście kilkadziesiąt stroni, plus minus piętnaście arkuszy. Ile czasu pan potrzebuje na napisanie książki?

Zastanowiłem się.

– Jakież dwa miesiące...

– Powiedzmy trzy, w trakcie pisania będą wypłacać dwa tysiące franków miesięcznie. Jutro święto narodowe, pojutrze proszę się zgłosić do „Reginy”, otrzyma pan pierwszą ratę. A za fragmenty drukowane w „Słowie” osobne honoraria. Ma pan już jakieś pieniądze na drobne wydatki?

– Owszem, mam trzysta złotych. Ale dzięki genialnemu zarządzeniu pana ministra Stańczyka ani jednego sous, bo od pierwszego listopada kazał wstrzymać wymianę.

– Tak, to, niestety, skończony jełop. Ale proszę mego określenia nie rozgłaszać. Ma pan sto franków, potem wytrączę z honorariów. Jeszcze jedno. Przypuszczam, że pańskie wrażenia z kampanii wrześniowej nie są zbyt różowe. Ale niech pan nie pisze zanadto czarno. Musimy oszczędzać czytelnika.

Jeszcze tydzień czy dwa, jakiś Klub Angielsko-Amerykański urządził przyjęcie dla polskich exulów literackich. Miłe panie krążyły z półmiskami i coraz to nowymi butelkami szampana. Był Tuwim z siostrą, Maria Kuncewiczowa, Wierzyński, Lechoń, Zygmunt Nowakowski, Baliński, Słonimski, jeszcze paru. Nie przyszedł Grydzewski, bo był odludkiem, zawsze stronił od tego rodzaju zebrań. Zarzucono mnie pytaniami; czy po wszystkich przejściach jestem w stanie pisać? Tuwim skarżył się, że nie może z siebie wydusić ani jednej linijki. Pierwszy otrząsnął się po klęsce Wierzyński.

Zwierzyłem się mu pod sekretem, że chcę wrócić nielegalnie do kraju. Po co? Wykorzystując moje kontakty wołyńskie, nawiązać stosunki z Ukraińcami. Może dojść do wzajemnej rzezi, trzeba temu zawczasu przeciwdziałać. Jestem w dobrej formie fizycznej, stać mnie na odbywanie długich marszów. Potrzebuje pieniędzy i zgody rządu na wyjazd na Węgry.

Za moją zgodą Wierzyński dopuścił do sekretu Ignacego Matuszewskiego. Poznałem go w Warszawie jeszcze na wiosnę 1934 roku. Redagował wtedy „Gazetę Polską” i drukował moje wiersze na niedzielnej kolumnie w cotygodniowym dodatku literackim, płacąc dość wysokie honoraria. Wyższe płacił tylko Grydzewski w „Wiadomościach Literackich” i następnie w odrodzonym w rok [-] „Skamandrze” (początkowo jako miesięcznik, potem – kwartalnik). Ale to już była w listopadzie 1939 roku odległa przeszłość.

Wierzyński i Matuszewski doradzili mi, abym zgłosił się do generała Sosnkowskiego, i obiecali, że mi załatwią audiencję. Zanim do tego doszło, świetna wiadomość. Halina Wierzyńska zaprzyjaźniła się z pewną Francuzką, która miała bliskie stosunki z jednym z głównych wydawców

poczytnego paryskiego dziennika. Ten z miejsca zgodził się sfinansować zamierzoną podróż. Wymieniona suma zakreśliła mi w głowie.

„Jeżeli – powiedział rozporządzający milionami dyrektor – ten polski poeta chce zaryzykować życiem, ja mogę zaryzykować większe pieniądze. Jeżeli uda mu się wrócić, będziemy drukować jego reportaże i dziennik jeszcze na tym zarobi! Koniecznie niech przywiezie odpowiednie fotografie”. Ale pozostawało wydanie zgody polskiego rządu.

Chodziłem przez kilka dni w euforii, aż powiedziano mi, którego dnia i o której godzinie mam zgłosić się do Sosnkowskiego. Jadę metrem do „Reginy”, legitymuje się u dyżurnego żandarma, wjeżdżam windą na pierwsze piętro. Na korytarzu już czekało na mnie dwóch panów w cywilu. Mówią mi swoje nazwiska; jednego nie dosłyszałem i po dziś dzień nie wiem, o kogo chodziło; drugi – pułkownik Izydor Modelski. Zaczęło się szczególne badanie. „Z kim pan chce iść do kraju, jakie tam mam kontakty, co, jak, dlaczego, po co?”. Odpowiadam, że szczegóły mogę wyłożyć generałowi Sosnkowskiemu, a nie im. Wywiązuje się krótki i nieprzyjemny dialog.

– Generał pana nie przyjmie.

– Przecież obiecał telefonicznie.

– Tak, ale teraz jest zajęty. Mamy rozkaz, by pana nie do puścić do niego, jeżeli nie dowiemy się wszystkich szczegółów...

Zakreśliłem się na pięcie i już mnie nie było. Tuż przed windą wpadam na pułkownika Antoniego Bogusławskiego, którego poznałem kilka dni przedtem. Na widok mojej wścieklej miny, zatrzymał się.

– Co się stało?

– A nic, miałem być przyjęty przez generała Sosnkowskiego, ale ci panowie mnie nie dopuszczają.

Bogusławski spojrział w stronę cywilów.

– Kto nie dopuszcza? Izydor Modelski?

– A właśnie...

Lekko skrzywił się, poklepał mnie po ramieniu, poszedł dalej. Wierzyński i Matuszewski nie mieli wątpliwości, gdy im zdałem sprawozdanie. „Naturalnie, to była obstawa sikorszczyków, by pana do Sosnkowskiego nie dopuścić...!”

Skończył się listopad; przyszedł grudzień. Z Lublina wciąż żadnych wiadomości, nie mam pojęcia, co z rodziną, z przyjaciółmi. Wiem tylko to jedno, że ulica Szopena wraz z przyległościami, była mocno bombardowana, więc domom przy Solnej także mogło się dostać. I wiem, że

Józefowi Czechowiczowi urwało głowę podczas nalotu, gdy siedział w fryzjerskim fotelu. Ale o tym dowiedziałem się znacznie wcześniej, jeszcze na drodze z Varaždinu do Zagrzebia, od przygodnie spotkanych Polaków. Tuż po Nowym Roku dwie wiadomości. Jedna radosna: list stwierdzający, że wszyscy moi żyją i cieszą się dobrym zdrowiem. Druga... Przychodzę, jak co miesiąc, do kasy po kolejną ratę – odmowa. „Pan minister Kot uciął panu zapomogę”. „Jaką zapomogę?”. „No, stypendium...!”. „Nie wiem, otrzymałem takie polecenie, nic na to nie poradzę”.

Chcę się dostać do Kota, dr Jan Lam, jego ówczesny jego sekretarz osobisty, rozkłada ręce: „Profesor nikogo dziś nie przyjmuje!”. Wycho-
dząc, wpadam na profesora Stanisława Strońskiego, zatrzymuje mnie, pyta, informuję go o wszystkim. „Więc to od Stasia Strzetelskiego... Dobrze, zaraz każę panu wypłacić te dwa tysiące franków. Potem nieporozumienie się wyjaśni”.

Jakoś istotnie wyjaśniło się bez większego trudu. O co poszło? Prawie w tym samym czasie przybyły do Paryża dwie wybitne osobistości, mianowicie wspomniany profesor Stanisław Kot i redaktor Stanisław Cat-Mackiewicz. Imiona te same, ale sentymenty i poglądy raczej odmienne. Kot został z miejsca mianowany ministrem na miejsce Sosnkowskiego, zaś Cat-Mackiewicz zakrzętnął się i zaczął wydawać wileńskie „Słowo”, tym razem jako tygodnik. Zwrócił się do mnie o wiersze. Dałem mu *Kryptę na Wawelu*, w której była mowa o „zdradczonym polskim hetmanie”.

Kot wpadł we wściekłość. „Jak to, po tym wszystkim, co się stało, jakieś wiersze o Piłsudskim!”

Zanim dobiegnę do końca tej opowieści, drobna dygresja. Gdy Wierzyński dowiedział się o nominacji Kota, natychmiast wybrał się do niego w konkretnej sprawie: uważał, że należy wydobyć z kraju na Zachód Jana Parandowskiego, Ferdynanda Goetla i Juliusza Kadena-Bandrowskiego. Dlaczego właśnie tych? Bo jako wieloletni prezesi i działacze PEN Clubu mieli najbardziej rozgałęzione stosunki międzynarodowe. Wierzyński liczył, że humanista i profesor przejdzie do porządku dziennego nad różnicami politycznymi i zgodzi się z racjami, które autor *Wolności tragicznej* miał do wyłożenia. Lechoń, bardziej sceptycznie nastawiony, odmawiał go.

„O Kadenie lepiej nie wspominać, bo na niego to nazwisko podzia-
ła jak czerwona płachta na byka. O Goetla także lepiej nie zahaczać. Zresztą ten by propozycji nie przyjął, chyba że mu się umożliwi wyjazd razem z kobietą. Jeżeli koniecznie chcesz, skup się na Parandowskim!”

Audycja odbyła się początkowo w przyjemnej atmosferze. Gdy Wierzyński zapytał, jak ma tytułować Kota, „ministrem” czy „profesorem”, otrzymał odpowiedź, która przypadła mu do gustu: „Ministrem mogę przestać być jutro, profesorem będę zawsze”. Początek był jak najlepszy. Ale gdy padło nazwisko Parandowskiego, Kot oświadczył kategorycznie: „Takich jak on są w kraju tysiące.” Wobec takiego [-] dictum dalsza rozmowa stała się bezprzedmiotowa. Wierzyński pluł sobie w brodę, że się w ogóle do Kota udał. Lechoń złośliwie tryumfował.

Wracam do osobistych spraw. Kot rozjuszony moją *Kryptą na Wawelu*, nie sprawdzwszy, o jakie pieniądze chodzi, sądząc mylnie, że to identyczne stypendium, co otrzymywane przez Tuwima, Wierzyńskiego i innych ze starszego pokolenia, kazał skreślić z listy moje nazwisko. „Jakie stypendium, przecież on jeszcze to początkujący poeta, który jeszcze nie wydał żadnej książki!”. Antoni Słonimski, który już wtedy był totumfackim rozgniewanego profesora-ministra, a był świadkiem owego wybuchu, nie zabrał głosu. Nie mógł, naturalnie, nie pamiętać wtedy, że miałem wtedy za sobą kilka książek (dokładnie – siedem), bo przecież brał udział w jury „Akademii Niezależnych”, gdy swoim głosem przeważył kandydaturę Józefa Wittlina (*Sól ziemi*) na moją niekorzyść. Po przerzuceniu się na mnie Marii Pawlikowskiej, a miałem już głosy Wierzyńskiego oraz Iłakowiczówny, był remis. Słonimski przemawiał ostatni i przechylił szalę na rzecz Wittlina. Działo się to w styczniu 1936. Po trzech latach, w Paryżu, pan Antoni o wszystkim „zapomniał” i zachował w obecności Kota dyplomatyczne milczenie.

Ale ktoś tam zanotował, że wybieram się do kraju i Kota o tym zawiadomił. Po paru tygodniach otrzymuję od doktora Lama telefonicznie zawiadomienie, że profesor chce ze mną rozmawiać. Idę. Wyłożyłem, o co chodzi. Zgodził się z moimi racjami, po czym zrobił rozsądną uwagę: „Jest zima, należy podróż odłożyć na wiosnę, wtedy będzie pan miał większą szansę”. Już chciałem buchnąć go w mańkut, ale ten natychmiast mnie zmroził. „Jakie pan daje gwarancję, że w wypadku, gdyby pan dostał się do rąk Gestapo albo NKWD, nie załamie się na torturach i nie zacznie sypać?”

Odpowiedziałem krótko: „Mogę panu ministrowi dać słowo honoru, ale żadnych gwarancji. Nie ma na świecie człowieka, który mógłby dać takie gwarancje. Odporność na tortury jest ograniczona i niezależna od siły fizycznej ani od uczciwości”. Uznałem, że mam przed sobą głupca z tytułem uniwersyteckim, względnie, żeby nikogo nie obrażać,

osobę nierealną, choć podobno o wysokiej inteligencji. Zdarza się i tak. Dalsza rozmowa zaczęła mnie nudzić. A po tygodniu siedziałem we francuskim więzieniu wojskowym (Cherche-Midi w Paryżu), z którego mogłem i powinienem był wyjść najpóźniej na moje imieniny i urodziny (19 marca). Profesorowi i ministrowi zawdzięczałem, że tak się nie stało.

Ze Stanisławem Kotem zetknąłem się osobiście jeszcze dwa razy, także w Paryżu, ale dopiero po dziesięciu latach. Były to spotkania najzupełniej przypadkowe, bardzo nieprzyjemne. Dla niego. Ale to zupełnie inna historia, o której przy właściwszej okazji.

* * *

Do Madrytu przybyłem po raz pierwszy w lutym 1943 roku. Stało się to trzeciego dnia po zwolnieniu z więzienia w Figueras, gdzie odkukałem prawie swoje osiemnaście miesięcy. Nie żałowałem. Gdybym pojechał jak tyłu innych do obozu dla internowanych w Miranda de Ebro, byłyby to miesiące w znacznym stopniu zmarnowane. A tak nauczyłem się języka, dużo czytałem (biblioteka więzienna była szczupła, ale nieźle skompletowana), wreszcie obcując na co dzień z Hiszpanami różnej obediencji społecznej i politycznej, uczyłem się praktycznie tego kraju i jego mieszkańców. A każdego człowieka o wiele lepiej i szybciej poznaje się w nieszczęśliwych okolicznościach niż w normalnym obcowaniu towarzyskim na wolności. Nie znając hiszpańskiej wojny domowej w bezpośrednim zetknięciu, przeżyłem ją bardzo intensywnie w rozmowach z towarzyszami niedoli.

W Madrycie było zimno, siąpił drobny deszczyk. Pierwsze wrażenie było zatem mało przyjemne. Ten pierwszy pobyt trwał stosunkowo krótko, bo zaledwie kilka miesięcy. Potem tłukłem się po Hiszpanii, przeważnie na piechotę, aż do jesieni następnego w roku. Gdy wojna dobiegała końca, pojechałem do Francji, tym razem legalnie, z paszportem polskiego poselstwa. Rząd w Londynie cieszył się jeszcze międzynarodowym uznaniem, nikt z nas nie tracił nadziei, że wkrótce wrócimy wszyscy do niepodległego kraju, choć co do mnie, znacznie wcześniej doszedłem do wniosku, że poczułem się emigrantem.

Dlaczego zostałem w Hiszpanii

N16, k. 1–4 r, 6–12 r. Środkowa część tekstu (poświęcona pobytowi Łobodowskiego w Paryżu) ukazała się po modyfikacjach w cyklu „Worek Judaszów” pod tytułem *Paryż po raz pierwszy* w „Wiadomościach” 1980, nr 18.

Requiem dla miłego miasta

Gdyby mi ktoś powiedział przed laty, że większą część życia spędzę w Madrycie, uznałbym go za wariata z mokrą głową. A jednak! Zaczęło się skromnie, bo od kilku miesięcy w roku 1943, następnie znowu kilka miesięcy w roku następnym. Ostatecznie zamieszkałem w Madrycie w lipcu 1945, a więc wkrótce spełni się trzydzieści pięć lat. Nigdzie tak długo nie siedziałem. A nawet jeśli odliczyć liczne wyjazdy do Paryża, a zwłaszcza do Londynu, oraz sporadyczne wypadki do Szwajcarii i Włoch, a w jesieni 1977 do Kanady i Stanów Zjednoczonych, to i tak zostanie w sumie dobrze ponad trzydzieści lat.

Ale dawnego Madrytu, który poznałem w 1943, a rozsmakowałem się w nim w latach następnych, już nie ma. Stąd żałobny tytuł tego tekstu. Nazwijcie go elegią, albo jeszcze lepiej – trenem, jak komu serce dyktuje. Tamto miasto nie istnieje. Pozostały po nim żalosne szczątki, nieskoordynowane fragmenty, niczym ruiny prehistorycznego Pestum. Znikły dawne obyczaje, a to, co jeszcze uratowało się i utrzymało, to już tylko nikłe echo, przelotne cienie, zamierzchłe wspomnienia, więdnące pnącze, rozpaczliwie czepiające się zmurszałych kolumn i próchniejących ścian.

Chodziły jeszcze przedpotopowe tramwaje, tak powolne, że można je było doganiać w biegu. Samochodów widziało się bardzo mało, prawie wszystkie ciągnęły za sobą przyczepki, zwane „garogonami”. Bojkot gospodarczy spowodował brak benzyny; owe „garogany” to były piecyki, w których palono drewniane polana i gorące powietrze wraz z gazem dochodziło do motorów. Ach, i jeszcze można było złapać staromodną jednokonną dryndę z tradycyjnym „simonem” na koźle!

Coraz to w najludniejszych miejscach przystawały grające szafy, czyli *organillos*, ciesząc słuch tanecznymi melodiami, ale także ariami

z operetek, jakże popularnych w owym okresie, a zwanych tu *zarzuelas*. W niezliczonych barach i kawiarniach urzędowali czyściciele butów (*limpiabotas*), mający swoją stałą klientelę. Można było kupić u nich także papierosy, cygara, bilety na najbliższą *corridę*, a nawet losy loteryjne. Zawód pucybuta nie był uważany za uwłaczający godności osobistej. W nieistniejącym już dziś barze „Padilla” pracował starszy jegomość, który uprzednio objechał pół świata, nieźle znał francuski i angielski. Zwracano się do niego z szacunkiem, *perdon* Ramón, i można było zaobserwować, jak wzięty adwokat, znany doktor albo major w mundurze po zapłaceniu za wypucowanie butów na glanc podawali mu ręce, częstowali papierosem i żegnali się uprzejmie: „¡Gracias, don Ramon! ¡Hasta la vista!”³.

W pewnych porach roku pasterze kastylijscy pędzą stada owiec do Estremadury (w poszukiwaniu pastwisk). Dziś już tego spektaklu nie uświadczy, ale w tamtych czasach widywało się go często: przodem szło paru pasterzy spalonych na brąz przez słońce, płaskowzgórza, za nimi kierdele ciasno zbite w kupę i opędzane z boków przez uważne owczarki. I całe towarzystwo waliło spokojnie przez ulicę Alcalá, Plaza de Independencia, Cibeles, Gran Vía, przez sam środek Madrytu. Policjanci pomagali psom, pilnując, aby żadna owca się nie urwała, nieliczne samochody cierpliwie czekały, aż się ta wiejska ferajna przewali ku południowym dzielnicom stolicy. Niezapomniane wrażenie!

Ciudad Universitaria (Miasto Uniwersyteckie) leżało w ruinach i dopiero zaczęto je odbudowywać. Przez blisko trzy lata przebiegał tędy front wojny domowej i walka toczyła się często w tym samym gmachu, gdy republikanie siedzieli na dolnych piętrach, a *nacionales* (narodowi) – na górnych. Zanim przystąpiono do odgruzowania, trzeba było najpierw oczyścić teren od min i pocisków, które nie wybuchły. Najpierw szli saperzy, dopiero po nich murarze.

Trzeba było być w Wielkim Tygodniu w Madrycie i w innych miastach hiszpańskich. Procesje swoją drogą, ale trzeba było widzieć te tłumy kobiet, głównie młodych dziewcząt, które w Wielki Czwartek i Piątek wylegały na ulice w czarnych, jedwabnych sukniach, w równie czarnych, koronkowych mantylkach upiętych na wysokich grzebieniach. Ten strój uzupełniały różańce, modlitewniki i kwiaty: czerwone goździki albo żałobne fiołki. W tym roku łąziłem przez parę godzin po

³ *Gracias...* (hiszp.) – Dziękuję, panie. Do widzenia!

ulicach i upolowałem dwie starsze panie tradycyjnie ubrane. A wtedy na każdym kroku po kilka i kilkanaście dziewcząt. Jakże szybko teraz zanikają w tym kraju najpiękniejsze zwyczaje! Teraz, bo dawniej szanowano tradycję staranniej.

Madryt jest miastem stosunkowo młodym, stolicą stał się po raz pierwszy za Filipa II, ustalił się w tej roli w kilkadziesiąt lat później, rozrósł się i ozdobił dopiero za Burbonów, głównie za Karola III. Do historii przeszedł zasłużenie bardziej jako znakomity burmistrz Madrytu niż król hiszpański. Z pomników architektury, które powstały za jego panowania, wymienić należy przede wszystkim Łuk Tryumfalny na Placu Niepodległości, wsparty na czterech potężnych kolumnach (a więc trzy łuki). Został zbezczeszczonej za wojny domowej, gdy rząd republikański „ozdobił” go olbrzymimi, ponadnaturalnej wielkości portretami Lenina, Stalina i Woroszyłowa. Oczywiście, oglądałem te portrety tylko na fotografii, bo dawno zostały zdjęte.

Najpiękniejszą ulicą w tamtym Madrycie była *C a s t e l l a n a*, długa arteria idąca, jak sierpem rzucił, od Cibeles aż na podmiejskie wydmuchy. Domów czynszowych tam prawie nie było – wielkopańskie pałace: renesansowe, barokowe, rokokowe, w stylu Drugiego Imperium. Tych pałaców już nie ma, poszły na złom, a na ich miejscu powyrastały masywy banków i przeważnie bardzo brzydkie drapacze chmur (*rascacielos*). Chyba właśnie na tym odcinku zadano dawnemu Madrytowi najgorszy, najbardziej barbarzyński cios. Definitywny i już nieodwołalny.

W ciągu ostatnich lat Madryt rozrósł się potwornie. Ze wszystkich stron powyrastały nowe, ludne dzielnice, wielokrotnie zwiększając powierzchnię stolicy. Oto odpowiednie, wymowne liczby. Na początku stulecia ludność Madrytu wynosiła niewiele ponad pół miliona, w roku 1940 przekroczyła milion; w 1950 – milion sześćset sześćdziesiąt siedem tysięcy; w 1968 – dobrze ponad trzy miliony; w chwili obecnej – około czterech milionów. A więc w ciągu osiemdziesięciu lat ilość mieszkańców urosła prawie ośmiokrotnie. Ten gwałtowny rozrost miasta nastąpił na skutek intensywnej imigracji ze wszystkich prowincji hiszpańskich.

A więc, gdy osiedliłem się w Madrycie definitywnie, mógł on mieć od miliona trzystu, do czterystu tysięcy. Nie wyglądał na to. Powód? Po pierwsze, miał bardzo rozrzucone, oddalone od centrum przedmieścia, do których mało się zaglądało; po drugie, przeciętna wysokość domów czynszowych wynosiła ówczesnie sześć–siedem pięt, więc zagęszczenie było poważne. W Londynie istnieją ogromne dzielnice

składające się z jednorodzinnych domów w ogrodach. W Madrycie jest tego nawet dziś stosunkowo niewiele, a przed laty znacznie mniej.

Było dużo nędzy. Po zniszczeniach przewlekłej wojny domowej Hiszpania miałaby szansę na szybkie odrodzenie, gdyby nie to, że w kilka miesięcy później wybuchła druga wojna światowa. Podczas pierwszej państwa neutralne zarabiała i bogaciły się; teraz stało się wręcz odwrotnie. Wkrótce cała Europa kontynentalna aż po Pireneje znalazła się pod butem hitlerowskim. Od III Rzeszy nie można było niczego oczekiwać, można było tylko jej pomagać. Generał Franco wskórał tylko tyle, że w przeciwieństwie do Mussoliniego, nie dał się wciągnąć do wojny. El D u c e skończył na rzeźnickim haku w Mediolanie, Franco żył jeszcze trzydzieści lat.

Gdy skończył się bojkot dyplomatyczny i gospodarczy, kraj zaczął szybko dźwigać się z gruzów i stawać na nogi. Po paru kolejnych amnestiach rozładowały się więzienia, przepelnione uprzednio więźniami politycznymi; intensywnie rozwijał się przemysł, zarobki szły w górę, choć na dobrobyt trzeba było jeszcze zaczekać sporo lat; zniesiono plagę pierwszego okresu powojennego: kartki żywnościowe. Intensywna budowa stacji elektrohydraulicznych zabezpieczyła stałą dostawę prądu. Jeszcze w drugiej połowie lat czterdziestych Madryt zapadał wieczorami w egipskie ciemności, nieco później, gdy zaczęły działać świeżo pobudowane zapory wodne i elektrownie przy nich, tonął w powodzi światła.

Większość barów i innych lokali publicznych pozostawała otwarta do drugiej i trzeciej godziny nad ranem. Śródmieście było bardziej ożywione, ludne o północy niż w południe. Obecnie ludzie idą spać wcześniej, gdyż łożenie w późnych godzinach stało się niebezpiecznie. Ale i za dnia dzieją się rzeczy, o jakich kilka lat temu nikomu się nie śniło w najgorszym koszmarze. Niezależnie od zamachów terrorystycznych, dokonywanych w imię takiej czy innej organizacji politycznej, zwykła przestępczość doszła do niebywałych rozmiarów. Od dłuższego czasu w Madrycie nie ma dnia, aby obeszło się bez jednego (co najmniej) zbrojnego napadu na bank. Często takich napadów jest kilka.

Do tego dochodzą zbrojne napady na sklepy jubilerskie, na kasy oszczędności, na nocne dancingi i na apteki (chodzi o zdobycie narkotyków). Wreszcie napady rabunkowe na spóźnionych przechodniów, z nożem albo rewolwerem. Coraz częściej zdarzają się porwania młodych dziewcząt i wywożenia poza miasto, w wiadomym celu. Jeden z dzienników madryckich prowadzi stałą rubrykę pt. *Jungla de asfalto*

(*Asfaltowa dżungla*) i nigdy redaktorowi tej rubryki nie brakuje obfitego materiału. Najbardziej niepokoi fakt, że w bardzo wysokim procencie czyny kryminalne są dokonywane przez młodocianych przestępców, między piętnastym i dwudziestym rokiem życia. Beznamiętna statystyka stwierdza, że akcje bandyckich, nożowniczych, kradzieży i gwałtów jest obecnie więcej w ciągu jednego tygodnia niż dawniej w ciągu roku. Czemu to przypisać? Przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie, poczuciu bezkarności.

Dawniej kandydat na mordercę wiedział, co go czeka w razie schwytania; po zniesieniu kary śmierci i po hojnym szafowaniu amnestiami różnego typu ryzyko uległo znacznemu zmniejszeniu. To samo bodaj w jeszcze większym stopniu dotyczy zbrodniczej chuliganerii. Młodociany przestępca, który wie, że ze względu na wiek nie pójdzie pod sąd, kpi sobie z prawa i z policji. Domy poprawcze są tak źle strzeżone, że tylko wielki niedołęga nie potrafi z niego uciec, kiedy mu się żywnie podoba.

Sprytniejsi uciekają w parę dni po zamknięciu. Na początku kwietnia tego roku schwytano szesnastolatka, który uprzednio był zamykany w domu poprawczym k i l k a d z i e s i ą t razy. Po ostatniej ucieczce dokonał sporo napadów rabunkowych z majchrem w rękę, kradł często samochody, dokonał gwałtu na młodej mężatce. Ponieważ skończył szesnaście lat, dopiero teraz pójdzie pod sąd. A zaczął zbrodniczą karierę przed dwoma laty.

Jakże by to wyglądało dawniej, za dyktatury? Proszę się nie oburzać, jeżeli powiem, że o wiele pozytywniej nie tylko dla społeczeństwa, ale i dla samego chłopaka. Po schwytaniu go po raz pierwszy dostałby na komisariacie takie lanie, żeby mu się odechciało raz na zawsze. Kto wie, może by wyszedł na przyzwoitego człowieka. Dzięki bezkarności stał się bandytą i chyba nie ma już dla niego ratunku. Gdy go zapytano, dlaczego pod groźbą noża zgwałcił bezbronną kobietę, odpowiedział z całym spokojem: „Byłem po haszyszu i po kilku kieliszkach”. Niewiniątko!

Głosi się, że w Madrycie, jak i w całej Hiszpanii zapanowała demokracja. Przywódca Partii Socjalistycznej Felipe González oświadczył publicznie, że „demokrację hiszpańską ogarnął proces gnilny”. A więc zgniła, zanim dojrzała. González nie jest bohaterem mego romansu, ale tym razem trafił w sedno. Demokracja musi być oparta na prawie; jeżeli nie potrafi tego dokonać, stacza się ku anarchii. W Hiszpanii dzisiejszej nie ma demokracji, ponieważ coraz oczywiście ulica, a więc elementy kryminalne, a co najmniej nieodpowiedzialne, nadają ton ulicy. Stare

hasło: „*Hago lo que me da la gana*” („Robię, co mi się podoba”) – nie stanowi najlepszej gwarancji dla rozwoju świeżo urodzonej demokracji.

Nie byłem nigdy i nie jestem zakochany w Madrycie, ale go polubiłem i dlatego żałobne dzwony bijące na zgon tego miłego niegdyś miasta sprawiają mi tak wielką przykrość. Madryt istnieje, czteromilionowy, dynamiczny i smutny, krzyczący i pełny najgorszych przeczuć, opanowany raz nadzieją, kiedy indziej najczarniejszym pesymizmem, ale tamtego Madrytu, który kiedyś polubiłem, już nie ma i nigdy nie będzie.

Pamiętających dawne, lepsze czasy, razi rosnące schamienie. Pamiętam – wtedy, przed trzydziestu pięciu laty, już się skarżono. Ach, nie! Nie chcę przesadzać! Spotykam jeszcze dość często starsze osoby, których obecność sprawia, że za wcześnie na definitywny pogrzeb. Ale należą do pokolenia odchodzącego. Albo nie mają spadkobierców, albo zbyt nielicznych i niezdecydowanych, by przejęli pałeczkę sztafety.

Niektórzy podkreślali, że winę ponosi nie tylko lewica, nie tylko „*los rojas*” (czerwoni), lecz także zwycięscy Falangiści, bo oni też wprowadzili zwyczaj tykania, jako że także oni są „*camaradas*” (towarzyse). Ale między rokiem 1945 i 1980 różnica jak między burbońskim Wersalem i słynnym targiem Pcheł.

I słaba to pociecha, że dzieje się podobnie także poza Hiszpanią. Drobną dygresja. W roku 1950 jechałem paryskim metrem na Gare du Nord. Wsiadła jakaś starsza pani – wszystkie miejsca zajęte. Wstałem i wskazałem gestem na krzeselko. A obok siedziało kilku znacznie młodszych ode mnie gości. Zaproszona usiadła z dość zdziwioną miną i natychmiast zapytała: „Pan nie jest Francuzem, prawda?”. „Nie, proszę pani, jestem cudzoziemcem”. „No, właśnie od razu się domyśliłam! Francuzi już dawno przestali grzeszyć uprzejmością!”

Ale mieszkam w Madrycie, nie w Paryżu i dlatego mnie tutejsze schamienie tak bardzo przygnębia. To nie tylko wina samej ulicy, która zawsze i wszędzie jest skłonna do nadużywania wolności, jeśli uda się ją zdobyć. Ulica, zwłaszcza hiszpańska, jest anarchiczna i dlatego każdy szanujący się kraj musi ją trzymać w ryzach. A te zanadto w ostatnim czasie osłabły. Główna ulica Madrytu, José Antonio, popularnie – Gran Vía, w czasie wojny domowej – Avenida de Rusia, w pewnych godzinach wygląda jak warszawski Kercelak. Chodnikiem trudno przejść; wędrowni handlarze rozkładają swoje towary na stojakach i na płachtach... Czego tam nie ma! – przedwojennym Braciom Jabłkowskim wyłazłyby oczy ze zdumienia i zazdrości, gdyby mogli przespacerować się

któregoś pogodnego dnia między placem Colon i gmachem Centrali Telefonicznej. Niech czytelnicy pamiętający przedwojenną Warszawę, wyobrażą sobie, że Kiercelak przeniósł się na Nowy Świat i Krakowskie Przedmieście, zwycięsko otaczając Pałac Staszica i pomnik Kopernika, a łatwo zorientują się, o co mi chodzi.

Hiszpanie byli zawsze niesłychanie dumni z tradycyjnie rycerskiej postawy i zachowania się. I nie była to duma nieuzasadniona. Gdy po bitwie pod Rocroi zwycięski wódz francuski zapytał wziętego do niewoli rannego Hiszpana: „Ilu was było?”, ten odpowiedział: „Niech Wasza Mość każe policzyć poległych!”

Pamiętacie czwarty akt *Cyrano de Bergerac* Rostanda? Francuzi oblegają załogę hiszpańską zamkniętą w mieście Arras (wiek XVII); nadciąga z odsieczą armia hiszpańska i oblega oblegających. Zjawia się piękna Roxana, by odwiedzić swego męża, zaślubionego tej samej nocy, gdy „gaskońskie junaki Carbona de Casteljaloux” miały wyruszyć w pole Christianowi de Neuville, zapytana, jak się to stało, że hiszpańskie straże ją przepuściły, odpowiada rezolutnie, że mówiła: „Jadę do kochanka!”. A wtedy Hiszpan „pyszny swą grandezzą i szpicem ostrogi spod koronkowych falban błyszczący u nogi, w kapeluszu, z którego powiewa piór kita, schylał głowę i mówił: »Więc jedź, *señorita!*«” (przekład Marii Konopnickiej).

Historyczne dramaty Eduarda Marquiny cieszyły się kiedyś olbrzymim powodzeniem; dziś już się całkowicie przeżyły. Nie o to chodzi, takie zjawiska w dziejach każdej literatury zdarzają się na porządku dziennym. Pozostały po nim niektóre szczęśliwe zwroty i powiedzenia. W jednym z dramatów, którego akcja rozgrywa się w wieku XVI, bohater, typowy szlachcic hiszpański, mówi do bohaterki, Flandryjki czy Holenderki, uzasadniając dumnie popełniony przed chwilą szlachetny czyn: „*España y yo somos así señora!*” („Hiszpania i ja jesteśmy tacy, o pani!”). Przez długie lata po usłyszeniu tych słów, znanych zresztą na pamięć, widzowie teatralni urządzali popularnemu autorowi owację. „Jesteśmy tacy!” – to była afirmacja historycznej tradycji i narodowej świadomości. Afirmacja szlachetna i zarazem niebezpieczna, bo powodująca bezpłodne i bezkrytyczne zadowolenie z samych siebie.

Ale gdy wytworne towarzystwo – panował wtedy Alfons XII, pradiad obecnego króla – kwitowało owe pyszne słowa entuzjastycznym aplauzem, już dorastało pokolenie, którego wybitny przedstawiciel oświadczy: „Kochamy Hiszpanię, bo się nam nie podoba”. Nie, to nie był żaden paradoks. Kochali ją, bo taka, jaką była, im się nie podobała

i podobać się nie mogła. Więc chcieli ją zmienić siłą i w imię synowskiej miłości. Prawie wszyscy, co tak myśleli i do tego dążyli, zginęli z rąk braterskich na samym początku wojny domowej: José Antonio Primo de Rivera, Ramiro de Maeztu, Ramiro Ledesma, Onésimo Redondo. Stało się wielkie nieszczęście dla tego narodu, że wymienieni działacze wojny nie przeżyli. Wszystko potoczyłoby się od samego początku zupełnie inaczej, czytaj: znacznie lepiej. „Biada ludom, co własne mordują proroki!”. Ale tamci mordercy Mickiewicza nie czytawali i w ogóle nie wiedzieli, kto zac. A gdyby nawet!

Na zakończenie sprawa najważniejsza i najboleśniej mnie dotykająca. Wino! Przez długi czas o jego fałszowaniu w Hiszpanii nie było nawet mowy. Przyszło zza granicy razem z innymi nowinkami, z wyjcami na scenach, w radio i w telewizji, z łamańcami nazywanymi tańcem, z pornografią, z dżinsami i innym paskudztwem.

Istnieje hiszpańskie porzekadło, na które już kiedyś się powoływałem z całą satysfakcją: „*Llamar al pan – pan, al vino – vino!*” („Chleb nazywaj chlebem, wino – winem!”). Tak było zawsze. A dziś, gdy prosisz szklanekę wina, nie wiesz, czy zrodziła go uczciwa winna latorośl, czy dłoń szalbierczego chemika. Tylko głębokiej wsi ta zbrodnia jeszcze nie dotknęła.

W Madrycie podzwonne dotyczy niestety również wina. Niekiedy, gdy przeprowadzam rachunek sumienia i konfrontuję własną pisaninę z rzeczywistością, staram się o odrobinę optymizmu. Czy nie przesadzam, czy osobistych klęsk nie rozszerzam na innych, na Madryt, niegdyś „miłe miasto”, na Hiszpanię?

Może to tylko podzwonne po moim pokoleniu, po moim sposobie odczuwania i myślenia, po mnie samym, po moich planach i nadziejach? Właśnie wpadła do baru pięcioletnia dziewczynka, moja dobra znajoma, z wielkim brytanem, którego trzyma na smyczy. Zaraz go uwiąże przy balustradzie schodów i podejdzie do stolika, by mnie poprosić o pięć peset; lubi grać na rozrywkowej maszynie, a że jest za mała, przystawia krzesło i z wielkim trudem gramoli się na nie.

Bar znajduje się w dzielnicy przylegającej do Miasta Uniwersyteckiego, więc roi się tu od studentów i studentek, dopiero wchodzących w dorosłe życie. Są mili, radośnie bezpośredni, palą papierosy, piją piwo i brzydko klną, nawet dziewczyny, co już się stało powszechnym obyczajem i nikogo nie dziwi. Politycznie są – prawie wszyscy! – niedorozwinięci, niemający pojęcia o śmiertelnych niebezpieczeństwach

zagrożających temu miastu, temu światu, im wszystkim. Nie słyszą dzwonów bijących na alarm, a mój pesymizm, gdy od czasu do czasu otwieram gębę, przypisują zgorzkniałej starości. Oby ich nieświadomość okazała się słuszniejsza od moich złych przeczuć! Oby!

Requiem dla miłego miasta

N11, k. 9–27 r, 22 v, 26–30 v. Pdr. po modyfikacjach: „Wiadomości” 1981, nr 3 (w cyklu „Worek Judaszów”).

Medytacje na plaży

Są tacy, którzy wolą góry od morza. Kwestia gustu. Lubię góry, choć rzadko miałem z nimi z bliska do czynienia. W dzieciństwie – na Kaukazie. Potem – praktycznie nie. Pireneje były przelotną anegdotą. Dopiero hiszpańskie Gredos. Dolina Tormesu, dzika, ledwie zaludniona, wspaniałe lasy, a w nich bracia wilcy, pstrągi w strumieniach, wyżej kozice (*cavia hispanica*, nieistniejąca nigdzie poza tą okolicą), jeszcze wyżej królewskie orły (*águilas reales*). Ale wolę morze. Bo otwiera horyzonty bez granic. Bo odegrało wielką rolę w dziejach. Mitologiczne Morze Śródziemne, *Mare Nostrum*, które kolejno kołysało nawy greckie, fenickie, kartagińskie, rzymskie, później normandzkie, tureckie korsarskie galery, okręty wszystkich nacji świata! Plaża śródziemnomorska sprzyja mi pod każdym względem. Gdy kładę się na płóciennym leżaku i zamykam oczy pod palącym słońcem, jak łatwo o płodne medytacje!

Więc Grande Gandía. Stosunkowo niedawno był tu ubogi port rybacki, przy nim ileś domków. Ale napłynęła fala turystyczna i oto bezludna uprzednio plaża ujrzała ze zdumieniem, jak wzdłuż niej wznoszą się luksusowe hotele, restauracje, pensjonaty, restauracje – całe miasto, międzynarodowa wieża Babel. Nie podoba mi się to sztuczne miasto, od jesieni aż do wiosny niemal zupełnie niezamieszkałe. Plaża jest absolutnie niemożliwa w niedziele i dni świąteczne, gdy masowo zjeżdża hałastra z Walencji i innych pobliskich miejscowości. Wtedy plaża jest przeludniona, a potem trzeba ją czyścić z zabłąkanych papierków, blaszanych pudełek po sardynkach, z resztek żarcia, z niedopałków, ze skorupki i innych odpadków.

W dniu powszednim, zwłaszcza z samego rana, plaża jest przyjemna i przyjazna. Najważniejsze przecież, że można wypłynąć bardziej w głąb morza, dokąd nie ośmielają się zapuszczać normalni

kąpielowicze, położyć się na wznak i unosić na grzbiecie każdej kolejnej fali. Grzywacze są gniewne i nieprzyjemne na płyciźnie, bliżej brzegu, gdy załamują się na płytkich ławicach piachu. Nieco dalej są bardziej towarzyskie i przyjazne, nie obryzgują cię białą pianą, unoszą, kołyszają i znowu podrzucają i znowu opuszczają. Szanuję i lubię pływaków, którzy się ich nie lękają ani ich, ani głębi! W ten sposób nietrudno dojść do porozumienia z morzem. W tym wypadku z *Mare Nostrum*, z łacińskim „naszym morzem”.

Za jeden z piękniejszych fragmentów *Popiołów* uważam spotkanie Krzysztofa Cedry z morzem. Nie mam pod ręką powieści, by zacytować choćby kilka zdań, ale pamiętam, jak potężne wrażenie lektura tego fragmentu kiedyś na mnie uczyniła. Znacznie wcześniej spędziłem kilka lat mego dzieciństwa nad morzem, ale to było morze Azowskie, mikroskopijne, prawie zamknięte ze wszystkich stron, tak płytkie i zamulone, że Rzymianie nie bez słuszności dali mu nazwę Błot Wschodnich.

Jedno tylko nie było w nim pozbawione pewnej wielkości: odpływy i przypływy. Cofało się tak daleko, że prawie aż po linię widnokregu i można było na bosaka wędrować, zapadając się powyżej kostek w głębokim mule. Aż nagle rozlegał się potężny grzmot, jeden, drugi, jak wzrastające sygnały zbliżającej się nawałnicy. Wtedy trzeba było szybko uciekać ku brzegowi. Kto się zagapił, mógł już nie dobiec na czas.

„Stoimy bezsilni wobec doskonale niedoskonałego świata” – to sformułowanie, przeczytane gdzieś całkiem niedawno, wydaje mi się całkiem dobrze wyjaśniać najgłębsze niewątpliwie doświadczenie ludzkości, jakim zawsze było przeżycie religijne. A właśnie morze w o wiele większym nasileniu niż najwspanialszy nawet krajobraz lądowy przynosi poczucie i świadomość nieskończoności. I wcale temu nie stoi na przeszkodzie fakt, że możemy ten żywioł określić empirycznie bez reszty.

Małe dzieci, zwłaszcza te inteligentniejsze, lubią zadawać pytania, na które dorośli nie mają odpowiedzi, więc je zbywają byle jak. „Jak dorośniesz, dowiesz się”, „zrozumiesz, jak zmądrzejesz”! Oczywiście dziecku to nie wystarcza. Prędzej czy później przychodzi kryzys, gdy ślepa wiara podparta autorytetem wali się w gruzy, gdy – że powołam się na tytuł znanej powieści Jana Parandowskiego – „niebo” staje „w płomieniach”. Pierwsze pytanie przychodzi bardzo wcześnie. „Dobrze, to jest horyzont, a co dalej? Także morze? To dlaczego go nie widać?”. Albo: „A jak się gwiazdy kończą, to co? A co dalej?”. W ten sposób dzieciak w swoim osobistym mikrokosmosie zaczyna przeżywać dzieje

odwiecznego konfliktu, w którym myśl ludzka starła się z objawieniem, a filozofia z teologią.

Jeszcze przez dłuższy czas nie doszło do separacji... Jeszcze w XIII wieku usiłowano jej zapobiec i przez dłuższy czas to się udawało, tym bardziej że na straży podważonego już w swoich podstawach, ale wciąż jeszcze zachowującego pozory małżeństwa, stały władze świeckie rozporządzające wcale przekonywającymi środkami perswazji. Dwaj wielcy święci myśliciele tego stulecia, Albert Wielki i Tomasz z Akwinu, już musieli wyodrębnić filozofię od teologii, ale wciąż jeszcze uważali tą pierwszą za wierną służebnicę tej drugiej. Ich następcy już nie mieli żadnych wątpliwości. Dla Wilhelma Ockhama (wiek XIV) teologia przestała być nauką, co nie znaczy, że był człowiekiem niewierzącym, po prostu uznał, że zasad i twierdzeń wiary nie można udowodnić naukowo. Wierzący filozof jako tako daje sobie z tym radę, dla prostaczków – to już koniec, załamanie się wszystkiego – „jeżeli tak, to Boga nie ma!”

Ostatnie czterysta lat rozwoju kultury europejskiej to nieustanne pasmo paradoksalnej sprzeczności. Wspomniany już gwałtowny rozwój nauk empirycznych jakoś wcale nie przeszkodził wspaniałemu rozkwitowi muzyki religijnej ani poezji mistycznej. Przyszło oświecenie i wydawało się, że wraz z nim religijne przeżycia, już solidnie okaleczone, sponiewierane uprzednio, już dojrzały do uroczystego pogrzebu. Średniowiecze było ośmieszane i wyśmiewane na każdym kroku, właśnie dlatego, że takie mocno poddane filozofii kształtowanej przez teologię: to wtedy powstał bezduszny slogan „mroki średniowiecza”. Encyklopedyści nie pozostawiali na nim suchej nitki. Wszystko w nim było złe, głupie, barbarzyńskie.

Istnieje bardzo istotne rozróżnienie między rewolucją typu naukowego a rewolucją typu ideologicznego. Niekiedy jedna zbiega się z drugą, następuje utożsamienie, ale różnice są zasadnicze. Natomiast wzajemne oddziaływanie istnieje prawie zawsze. Typowo naukową rewolucją było odkrycie Kopernika, że ziemia nie jest ośrodkiem wszechświata, ale odkrycie to pociągnęło za sobą natychmiastowe przemiany ideologiczne. Gdyby komuś udało się udowodnić, że Kopernik popełnił błąd, musiałaby nastąpić taka rewizja ideologicznych następstw.

Rzeczony rozwój nauk empirycznych umożliwił powstanie doktryny marksistowskiej. Ale po upływie kilkudziesięciu lat okazało się, że determinizm w przyrodzie nie istnieje, a tym samym główny fundament marksistowskiego dramatu jest zwykłą fikcją.

Z naukowego punktu widzenia marksizm jest dzisiaj wart akurat tyle, co starożytna teoria Ptolemeusza o budowie wszechświata. I mimo to nie nastąpiła autolikwidacja. Dlaczego? Z tej oczywistej racji, że jak już dawno zauważono, marksizm stał się z biegiem czasu swoistą religią.

I oto wiek XIX, a po nim w jeszcze większym stopniu XX odkryły w tym pogardzanym średniowieczu istotne wartości nie tylko nadające się do wykorzystania czysto literackiego. A w samym romantyzmie – bo on zapoczątkował tę rewizję – objawiły się tendencje sprzeczne ze sobą, nawet wykluczające się nawzajem. Romantycy polscy np. dokonali neo-chryścianizacji Polski; we Francji po przejściowym tryumfie pozytywizmu doszli do głosu pisarze i poeci religijni. W Rosji ateistyczny ruch rewolucyjny rozwijał się równolegle do filozofii nawracającej do religii, nawet do teologii i mistycyzmu, kulminując już po rewolucji bolszewickiej – na emigracji. Paradoksy? – być może, ale dlaczego w nich tyle logiki i metody?

Sprzeczność polega na tym, że doktryna marksistowska powstała jako *par excellence* antyreligia i mimo to stała się jej namiastką. Dalszą konsekwencją był kult wodza: w Sowietach – najpierw Lenina, potem Stalina. Gdy postępy myśli ludzkiej wytrąciły doktrynie spod stóp jej podstawy „naukowe”, przestała istnieć. Ta okoliczność, że tyłu intelektualistów, myślicieli, profesorów uniwersyteckich, pisarzy trzyma się marksizmu oburącz, świadczy niezbitnie o głębokim upadku współczesnej kultury. Gdy w *Zdradzie klerków* Julien Benda zaledwie przeczuwał, co zacznie się dziać po jakimś czasie. Ta zdrada już sięgnęła najgłębszego dna.

* * *

Czytam teraz bardzo interesującą książkę, a właściwie dwie książki, bo rzecz jest rozbita na dwa solidne tomy, po prawie czterysta stron każdy. To *Mój wiek* Aleksandra Wata. Podtytuł *Pamiętnik mówiony*. Bo autor w ostatnich latach przed śmiercią nagrywał na taśmę swoje wspomnienia. Przeważnie był to monolog, niekiedy dialog z Czesławem Miłoszem, który te nagrania przeprowadzał. Ten „mówiony pamiętnik” wart jest obszernego omówienia. Kilka słów o autorze: był przedwojennym komunistą, po iluś tam latach rozczarował się, aresztowany we Lwowie podczas pierwszej sowieckiej okupacji, tłukł się przez długi czas po niezliczonych więzieniach, dużo wycierpiał, nabawił się nieuleczalnej choroby, wreszcie udało mu się dostać do kraju. Potem wyjechał na Zachód, wybrał wolność. Umarł w Paryżu w 1967.

Zapiski Wata są w wielu miejscach kontrowersyjne, opinie niesłuszne, ale jest więcej ciekawych, celnych, nawet odkrywczych. W pewnej chwili, charakteryzując świeckich komunistów, powiedział, że byli w pewnym sensie pod hipnozą historii. Historia jest wszechpotężna i nie tylko nie należy, nie wolno się jej przeciwstawiać.

Kiedyś, już dawno temu, przeczytałem u któregoś z sowieckich pisarzy, że starożytni Grecy także byli deterministami, bo los każdego człowieka znajdował się w rękach trzech sióstr, córek Nocy, decydujących o dacie narodzin i śmierci (Mojry albo Parki: Cloto przędła, Lachezis snuła w dłoniach nić żywota, Atropos przecinała ją nożycami). Taka interpretacja świadczyła o zupełnym niezrozumieniu ducha greckiej mitologii. Bogowie często wpływali na losy ludzkie, ale nie mniej często kłócili się między sobą i nawzajem sobie przeszkadzali. I zdarzało się im chronić ludzi przed nieszczęściem czy śmiercią, a nawet już zmarłych przywracać do życia, chociażby warunkowo. Tak, gdy podczas polowania dzik rozszarpał Adonisa, zrozpaczona Afrodyta, którego kochała, tak długo błagała Zeusa, aż ten zgodził się na kompromis: Adonis przez pół roku przebywał w podziemnym królestw, a na następne pół wracał w objęcia bogini.

Leżąc na śródziemnomorskiej plaży, trudno o niej nie myśleć, nie tylko dlatego, że urodziła się z morskiej piany, była przeto opiekunką żeglarzy, więc teraz, gdy leniwym spojrzeniem ogarniam kolorowe żagle snujące się na widnokręgu, bliskość bogini jest niewątpliwa. I wystarczy mocno zacisnąć powieki, by ją zobaczyć.

Medytacje na plaży

N7, k. 29–36 r. Tekst to niewielkich modyfikacjach opublikowany w ramach cyklu „Worek Judaszów”, „Wiadomości” 1977, nr 34/35.

[Proza obyczajowa] (fragment)

Przepląkała kilka godzin, zanim znużona zasnęła. Ale gdy wstała i po umyciu się siadła do śniadania, już była spokojna i zdecydowana. Z obojętną miną zwróciła się do matki.

– Ile ten świntuch proponuje? Piętnaście tysięcy?

– To na wstępie. A potem półtora tysiąca miesięcznie.

– To za mało. Zatelefonuj do niego i powiedz, że się zgadzam, ale musi dać jednorazowo dwadzieścia pięć i miesięcznie dwa tysiące. A jak nie, to sobie poszukam kogo innego. I znajdę!

Matka objęła ją, ucałowała.

– Córeczko! Naprawdę się zgadzasz?

– Przecież powiedziałam. Myślisz, że przyjmie moje warunki?

– Na pewno! On już mi mówił, że w razie czego zapłaci więcej.

Kiedy chcesz zacząć?

– Wszystko mi jedno. Choćby dziś. I niech przyniesie ciastka.

Eucarnita poszła do telefonu. Dolatywały urywki zdań, poszczególne słowa.

– Tak, panie Ramonie... Naturalnie... Już ja ją przygotuję we właściwy sposób i pouczę... Niech pan będzie spokojny... Jak już raz się zgodziła... Więc o dziewiątej... Proszę nie zapomnieć o pieniądzach...

Wróciła, znowu uściskała córkę.

– Nie masz pojęcia, jak on się ucieszył. Wykąp się teraz! Jak wrócę, podgolę ci paszki i całą resztę. Teraz pójde kupić to i owo, żebyś ładnie wyglądała tej pierwszej nocy.

Mecenas przyszedł punktualnie. Przyniósł ciastka, pudło czekoladek, bukiet czerwonych róż i dwie butelki francuskiego szampana. Eucarnita wyszła nie od razu, z obojętną miną dała gościowi rękę do pocałowania. Ten uprzednio wręczył matce grubą paczkę banknotów.

Na dany znak Eucarnity, dziewczyna zsunęła szlafrok, wyprężyła się, założyła dłonie na kark. Miała na sobie nocną koszulę ze złocistego jedwabiu, mocno obciśniętą na biodrach, u góry biała koronka, przez którą prześwitywały różowe sutki. Mocno wyciętą koszulę przytrzymywały dwie czarne aksamitki. Rozpuszczone włosy spływały do połowy pleców.

Mecenas spieszył się, wypili po kieliszku szampana, poszedł do sypialni, po chwili wyszedł w pidżamie, matka popchnęła Eucarnitę, poszła ze spuszczoną głową. Posłusznie zdjęła koszulę, położyła się, pieścił jej piersi i brzuch, niecierpliwił się i zaraz wszedł w nią z wyciem. Leżała jak kłoda, bolało ją, ale krótko, podciągnęła kolana, zaczęła współpracować, robiło się jej coraz przyjemniej, przyciskała go udami coraz mocniej, aż wydała krótki krzyk, gdy przeszył ją rozkoszny dreszcz.

Sama poszukała jego ust, nie pozwoliła mu podnieść się, huśtała go, aż poczuła, że jest gotów do powtórki i przyjęła go znowu w rozchylone biodra, już powolne i chętne.

[*Proza obyczajowa*] (fragment)
N15, k. 14 v, 16 v.

[Proza historyczna] (fragment)

Magister był tego popołudnia zamyślony i widocznie zdenerwowany. Wieczerzy prawie nie tknął, za to pił więcej niż zwykle. Mercedes bała się, że pozna się na dziwnym smaku wina, ale gdy wychylił pierwsze dwa kubki, uspokoiła się. Pomyślała, że widocznie przyszły złe nowiny z kraju Inków. „Tym lepiej, nie wyzna się, zem mu czarodziejskiego likworu dołała...”

Świece dopalały się z sykiem, jedna zgasła i ciemny dym rozszedł się po izbie. Wreszcie magister wychylił ostatni pucharek, wstał, wskazał gestem, że chce udać się na spoczynek. Jak zwykle uklękła, zdjęła mu z nóg miękkie meszty, pocałowała podaną dłoń. Wysunęła się cichutko, ale drzwi nie domknęła, by móc podpatrywać przez pozostawioną szczelinę. W komnacie panował półmrok, z lekka rozjaśniany słabym księżycowym światłem, sączącym się przez małe szybki okna.

Serce biło jej mocno, skronie pulsowały. „Uda się, nie uda się...?”. Magister modlił się krócej niż zazwyczaj, zwałół z siebie szatki[?], przykrył się barwnym, indiańskim, wełniakiem, ale nie mógł zasnąć. Bolała go głowa, wstrząsały nim dziwne dreszcze, przewracał się niespokojnie i często postękiwał. Metyska uznała, że już czas, przeżegnała się po trzykroć, pocałowała krzyżyk i pogański talizman, wślizgnęła się do izby, zamknęła drzwi, uważając, by nie czynić hałasu, szybko obnażyła się i na paluszkach zbliżyła się do łoża. La Gasca jej nie dostrzegł. Znowu przeżegnała[?] się, ściągnęła z śpiącego wełniak i przylgnęła gorącym ciałem do swego pana. Poszukała jego ust. W pierwszej chwili usiłował się od niej uwolnić, skorzystała z jego gwałtownych ruchów, by przekreślić się na wznak i wciągnąć mężczyznę na siebie. Wnet poczuła, że jest gotów do miłosnego aktu, a wtedy z gardłowym śmiechem triumfu

oplotła go ramionami i nogami. Wszedł w nią ze skowytem, nie zdając sobie sprawy z tego, co się dzieje.

Zasnął po godzinie. Mercedes zabrała z podłogi przyodziewek, poszła do swojej izdebki. Wargi miała pogryzione, brzuch falował, jak gdyby po długim biegu. Przycisnęła dłoń do rozpalonych piersi. Czuła się niezmiernie szczęśliwa. Nagle dźgnęło ją podejrzenie. „A nuż nazajutrz się rozeźli i każe mi się wynieść?”. Uklękła przed małym krucyfiksem na ścianie nad ubogim wyrkiem, zmówiła Ojczy Nasz i Zdrowaśkę. „Lepiej wrócić, żebym była przy nim, jak mu rankiemz śnica przemienie! A czy lubczyk, com mu zadała, jeszcze będzie miał moc?”. Wahała się dłuższą chwilę, wreszcie powzięła decyzję. Gdy pochyliła się nad magistrem, poznała, że jest pogrążony w ciężkim śnie. Legła przy nim, podłożyła ramię pod bezwładną głowę, drugą dłonią sięgnęła ku biodrom. „Jak się ocknie, to mnie znowu potrzebuje. Będę biodra otwierać każdej nocy, jak dziś, to mnie nie przepędzi...”

* * *

Zdarzyło się tuż przed Bożym Narodzeniem, że wyprawa pod wodzą rycerza [-] powróciła z wyjątkowo bogatym łupem. Spory ładunek złotych przedmiotów, które zaraz przetopiono na sztaby, by równo rozdzielić między uczestnikami i ze dwa tuziny Indianek, wśród nich prawie połowa ledwie rozkwitających dziewcząt. Że rycerzom nie brakowało niewolnic na miejscu, tylko szybko dwie najpiękniejsze wziął do swego domostwa główny zdobywca; resztę wystawiono na sprzedaż. La Gasca[?] był od początku przeciwny temu niegodnemu chrześcijańskim rycerzy procederowi, ale chciał w przededniu rozgrywki z Gonzalem Pizzaro uniknąć niezadowolenia i protestów. Jedną kupił kanonik, który od dawna dbał, by odnawiać fraucymer obsługujący biskupa, inne też znalazły chętnych nabywców, głównie wśród niedawno przybyłych. Zresztą kupowano je za bezcen. Mercedes zaniepokoiła się, gdy magister zjawił się na rynku, ale La Gasce chodziło tylko o to, by zobowiązać nabywców do łagodnego traktowania niewolnic i szybkiego nakłonienia ich do przyjęcia chrztu. Metyska uspokoiła się, gdy powrócił sam. Lękała się panicznie młodszych od niej rywalek. Modliła się codziennie, by nie zaszła w odmienny stan. „Jakoż mi żywot urośnie, rozbucham się – trwożyła się w myślach – bo sobie weźmie inną do łoża...”. Ale nie – była nadal wysmukła i sprężysta. Wiedziała też, iż jej pan jest z niej zadowolony, a nie zdarzyło się już

nigdy więcej jak tamtego złego dnia, by ją odtrącił, gdy przychodziła po wieczornych modlitwach. Przez pierwsze wieczory dosypywała do wina podniecające ziele, potem przestała. Już była pewna swojej nad nim przewagi.

[*Proza historyczna*] (fragment)
N15, k. 18–20 r.

ILUSTRACJE

SONETY DLA SUŁAMIŁY

~~Cho śladu cemburów nie~~
~~postrzeżeń~~

Sułamiłka patrzy drogą ^{niech} ~~niech~~ ^{niech} ~~niech~~
a jej śladu cemburów ^{niech} ~~niech~~ ^{niech} ~~niech~~
swojej gubieci ^{niech} ~~niech~~ ^{niech} ~~niech~~
ale ^{niech} ~~niech~~ ^{niech} ~~niech~~

^{niech} ~~niech~~ ^{niech} ~~niech~~
nie ^{niech} ~~niech~~ ^{niech} ~~niech~~
nie ^{niech} ~~niech~~ ^{niech} ~~niech~~
nie ^{niech} ~~niech~~ ^{niech} ~~niech~~

aby ^{niech} ~~niech~~ ^{niech} ~~niech~~
i ^{niech} ~~niech~~ ^{niech} ~~niech~~
i ^{niech} ~~niech~~ ^{niech} ~~niech~~
i ^{niech} ~~niech~~ ^{niech} ~~niech~~

jei ^{niech} ~~niech~~ ^{niech} ~~niech~~
współnie ^{niech} ~~niech~~ ^{niech} ~~niech~~
znowu ^{niech} ~~niech~~ ^{niech} ~~niech~~

II

Upat. Salanita swg sukniez rapina,
 jki jest ~~na dlu~~ od giny naga, a
 Ptabli brjand wredny na jk istomat,
 combanoni ~~z wart~~ ~~prapina~~ ~~obawa~~ ~~slime~~.
~~do art namio wpc~~ ~~drutny~~

Alle jenne me ne mi macy ne
~~zabim~~ ~~tyla~~ ~~w~~ ~~nie~~ ~~swomy~~ ~~o~~ ~~stanie~~ ~~rom~~ ~~o~~
 konstelacje wyda wu nie biam
 probleski ~~prace~~ ~~stanie~~ ~~is~~ ~~ciemo-~~
 a ~~panem~~ ~~to~~ ~~redms~~ ~~siwa~~

~~ni~~ ~~panem~~
 a ~~w~~ ~~mij~~ polubiwamie nocnych spw.
 Wtedy ~~stanie~~ bez dnie podobna Dyjaune,
 to wld cistem luszycem now
 szychym is, i wieze wiezbamie.
 centary myklicy is, sniw
 ley potofic is, seune, my ~~pa~~ ~~parmie~~

Q ten obrar wyrywam z mych spw,
 dy ~~z~~ ~~90~~ ~~portae~~ ~~umartej~~ ~~Zuraknie~~.
~~melasae~~

IV.

qdy zmizoval arysta med švitein,
crebnore trjandy, ^{sklam} zburivly u p
ifalme ei nylq in wozoglygias
~~ze to na met to in shavto,~~
obvo i takie niarjle.

a šerily baly nabyeliviat
wlym samym ^{aryst} što-to-lye q,
~~nabyeliviat~~ in hendele polovntnue

? ⁴
? ⁴ ~~in dno mo leyto~~ — wraue ~~to~~ pola,
ona my ha tyin in vrad, mo-
m'ra: moja pame nle, dela
to wejse w puejje ~~niwiarogdajje~~
w elio kze u puejje ^{meunke pangajje}
in lem.

? ⁴ ~~Šuranna, le jedno ei oi wriadje~~
~~zabam~~
~~miatni crato me samowite,~~

? ⁴ do kaladi bylo jedno oi wriadje
šobam:
? ⁴ cam in liary inamaj
weshowite.

V.

~~Malton~~

~~Jaki nie lea~~ ~~nie jest~~ ~~stę~~
 sie dzierżem na skraju ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~
 wci; przypominu ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~
 gdy strumień był ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~
 i w ubokich ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~

zemia, murem z kami, wiekowazte

nie było centaure, ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~
~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~
 stonice ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~
 było daleko; ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~
 do srodku: jej ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~
~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~
~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~
 kaida ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~
 chytne ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~
 sierp, centaury ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~

VI.

Jakiś binnel boczny in zabiegat
 kruszyt, jakobyki cheiat nune od
 - co mu, gupremu, lepto do spraw
 edleciat, a dymyca troim ^{raznych?} ~~edleciat~~
 sprawiatu zrem ^{moj na} ~~zrem~~ ^{zrem}
 jak bym byl truncem, ^{zaklad} ~~zrem~~ ^{zaklad}
 Cechany ~~zrem~~ ^{zrem} ~~zrem~~ ^{zrem} ~~zrem~~ ^{zrem}
 i nikt me ~~zrem~~ ^{zrem} ~~zrem~~ ^{zrem} ~~zrem~~ ^{zrem}
~~zrem~~ ^{zrem} ~~zrem~~ ^{zrem} ~~zrem~~ ^{zrem}

I le byliśmy ^{zrem} ~~zrem~~ ^{zrem} ~~zrem~~ ^{zrem} ~~zrem~~ ^{zrem}
 epicalisimy ~~zrem~~ ^{zrem} ~~zrem~~ ^{zrem} ~~zrem~~ ^{zrem}
 zabiegam ^{zrem} ~~zrem~~ ^{zrem} ~~zrem~~ ^{zrem} ~~zrem~~ ^{zrem}
 ni ~~zrem~~ ^{zrem} ~~zrem~~ ^{zrem} ~~zrem~~ ^{zrem}
 tkainur ^{zrem} ~~zrem~~ ^{zrem} ~~zrem~~ ^{zrem} ~~zrem~~ ^{zrem}
zrem: ~~zrem~~ ^{zrem} ~~zrem~~ ^{zrem} ~~zrem~~ ^{zrem}

bys byla ^{zrem} ~~zrem~~ ^{zrem} ~~zrem~~ ^{zrem} ~~zrem~~ ^{zrem}
 a ja ~~zrem~~ ^{zrem} ~~zrem~~ ^{zrem} ~~zrem~~ ^{zrem}

VII

~~Alte~~ Tego ~~z~~adna ~~w~~ajna ~~pr~~ezgra ~~nie~~ odlo~~ni~~
 ai do dna samego ~~spatn~~one ocy,
 wiecher, abim on tej noy zurocy,
 dni i ciark ~~patne~~ ~~nie~~nie my
~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~

niclo z kaidz chwily chwila ni
 awy qtoy radnoy cone z woty ~~nie~~ ~~nie~~
 knizyc srebrnyu ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~
~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~

Po tem knizyc ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~
~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~

stawalo us coraz ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~

13

VIII

earum in modis, qui ~~est~~ ^{ceteri} ~~est~~ ^{proveniunt} Homid:

Fenice jeden sonet na ^{zabaw-}
 ni zabawienie jeno jeden sonet.
 Raciona obnawie, uka ni wasy-
 janie ~~zabawie~~ ^{zabawie} wspomnienie ^{coz} ^{7,}

Tego wspomnienia wukuszy
 tyś jui poprosim, a ja ^{jenie} ^{prons} ^{stacisto}
 niech za fenice ^{stacisto} ^{zabawie}
 ujęz, ^{stacisto} ^{zabawie} ^{zabawie}
 ta tze ciem, ^{zabawie} ^{zabawie}
 wny stho ^{zabawie} ^{zabawie}
 gdyś ^{zabawie} ^{zabawie}

Centaury ^{znomy} ^{zabawie} ^{zabawie} ^{zabawie}
 Fenice, ^{zabawie} ^{zabawie} ^{zabawie} ^{zabawie}
 dec me w ^{zabawie} ^{zabawie} ^{zabawie} ^{zabawie}

~~Święci pruniasz, ja
saliu pmeru ne,
leer mi w listwiei oblaskei
i niofiei.~~

~~Centaury znomen pociq
i kung w
mwiado my~~

Kto talq miewad dnie
pawedi, s'nie rei, "gdie
pab dwoi as'ciei!"

PRZESTANI

Jeruzolimskim

Fak widziatem

Zuranno,

nie zar jance

wdruciny

pauom:

pod wielki szim

krym

(inym)

w spomnie

meur

za elnyez!

CZTERY LUBLINY. I

Dierwne saka, fahni ujabau po
akrawium w mego arbykusa - wyson uie-
wa p.t. "Stary cmentarz w Sublimie",
zachylytym uuu do naprawu. ^{zremy} przednes-
penym Sublimie, p. uasudnia me tyelbo
senbyment do tego uiarba, ale takie
jup ~~ela~~ ~~sklasy~~ epistacno - pali tyaino u
Omgej Pree p. polityk. ~~Ma~~ ~~lyt~~ pod tym
wzledem wyz bliscim, gduet indy dnaty
ny i neey podobne, lub ebliciom, ale
zamiha, abore uuu ab chodz, w starym
tykandulim grodu wydy potaty u
kntar eie chyka wybardy uynistym, a
eyu samym chyka fahne wybardy repre-
zenta cyim.

Tego uie da is spreyrowe w kilku
slowach uie prony cytelunow o ceypli-
wosci. ~~P~~ Obserwacje moje pomimny zain-
berrowe me tyelbo ludy, w fahni cy-
imny spwiak skizanych? Sublimie.
Dnentorie tego uiarba, podobne, fah
wyzstich pollich uiait, catogo krajia,
catogo arodu, pab garannu karynt,
myl propagandy remmowo - dromuri-
skymz, uie uuu uuu zairberrowny w
byut ielny uode pubelem, uideatny
brandy tyshoncyu, uie chye uuee
mup shi adectwo uyn, swiatwo ducine,
a mwie dohne do kraju, chody w'

2) ~~sko sun kono nreuprym zariz ga~~
~~Lawne~~ ^{te wni} ~~ca i z tego zostate. Bo to~~
~~nie prawda, ze ~~komunistow~~ Fajn i onejer~~
~~slub rowne byum fuz. Prawda talne~~
~~po braci in ~~bracie~~ ~~zobacim~~ ze starym~~
~~powiedaniem: "Indywidualna celinka~~
~~Lawne na meszce wyprawa!" W ananym~~
~~Democri Edwarda ~~Stech~~ ~~skiego~~ ~~zabity~~~~
~~nielegity legionista spotkat by z sarkozym~~
~~pepym ~~timem~~, gdy starym przed abliem~~
~~Polaka Bogu: "Zobacymy, czy wile~~
~~nowarybis ~~naim~~ ~~nowa~~!"~~

A wlasnie. "Kiepskie piwo w tej
 Kiepi skowali..." - ~~namkhat~~ ~~dag~~ ~~clai~~ ~~ly-~~
 pze ~~cliem~~ do ~~skocafundowania~~ ~~to~~
 Sengimera Podlepi ~~ziby~~. Chyba, ~~z~~ XVII-sto-
 wiecym ~~Sulicim~~, ~~z~~ ~~di~~ ~~at~~ ~~piwo~~ ~~berne~~,
~~nie~~ ~~w~~ ~~to~~ ~~kon~~ ~~chowali~~, ~~bo~~ ~~nie~~ ~~czy~~ ~~to~~ ~~z~~ ~~owia~~
~~row~~ ~~nie~~ ~~czy~~ ~~nie~~ ~~bralo~~ ~~wata~~ ~~ale~~ ~~z~~ ~~dan~~ ~~to~~ ~~in~~,
~~z~~ ~~piwo~~ ~~by~~ ~~wata~~ ~~slut~~ ~~nie~~ ~~ste~~, ~~nie~~ ~~klie~~
~~srto~~ ~~to~~ ~~z~~ ~~owia~~.

Zerzimis od topografii. Do Drugiej Woj-
 ny Swiatowej Sulica ~~mozna~~ ~~in~~ ~~w~~ ~~orku~~
~~lowat~~, ~~znacenie~~ ~~znizony~~ ~~idore~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~
~~cow~~ i ~~by~~ ~~in~~ ~~tan~~ ~~ym~~ ~~nie~~ ~~czy~~ ~~to~~ ~~z~~ ~~owia~~
~~in~~ ~~owaj~~, ~~nie~~ ~~w~~ ~~du~~ ~~in~~ ~~27~~ ~~-go~~ ~~st~~ ~~yczn~~ ~~ia~~,
~~gdym~~ ~~po~~ ~~in~~ ~~ostat~~ ~~ni~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~clor~~ ~~z~~ ~~by~~ ~~z~~
~~klisley~~ ~~Sropna~~ ~~na~~ ~~slak~~ ~~z~~. ~~Owo~~ ~~czesty~~ ~~Su-~~
~~licia~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~
~~le~~ ~~bo~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~
~~dlu~~, ~~a~~ ~~od~~ ~~nie~~ ~~go~~ ~~od~~ ~~clor~~ ~~z~~ ~~by~~ ~~z~~ ~~owia~~
~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~

3) Konsolidacja konfiguracji terre-
 nu. Włocłonek na pagórach ^{okazy} wady
 bnech nek - Bystrzyca, Leśnica
 i Ciesinie ^{owki} - ^{miasto} ^{to w swej}
 rozpoznaje ^{się} ^{na} ^{skraj} ^{ach} ^{okazy} ⁱ ^{o mi-}
 faszce ^{bazylisk} ^{onej} i podwielce
 Półki. Widoczne, że wzięte wrotary
 z fundacji. Dobro ^{nie} ^{styp} ^{demokratycznej}
 "udonij" ^{dotyczy} ^{pytanie};
 kto zapisał, że stare ^{okazy}, odno-
 wione na ^{zapy} ^{cały} w roku 1954-ym
 na ^{dziennik} ^{Mani} ^{Ferba}, ^{wali} ^{ty}
 coru ^{bardzo} i ^{edaje} ^{na} ^{do} ^{zabanki}?

Włocłonek tu ^{istnie} ^{cała} ^{stwierdza}.
 Do ^{okazy} ^{Subelna} ^{wy} ^{prze} ^{kadano}
 przez ^{sta} ^z ^{w roku} ¹⁹⁵⁴ ^{ro}
 archeologów ^{prze} ^{prze} ^{prze} ^{prze} ^{prze} ^{prze} ^{prze}
 jako ^{grodu} ^{warszawskiego} o ^{całkowicie} ^{brzo} ^{eksp}
 stulecia. Do ^{naj} ^{starszej} ^{skretu} ^{ci} ^{dostęp}
 w ^{w roku} ¹⁸⁵¹ ⁻ ^{roku}, ^{gdy} ^{we} ^{wrot} ^w ^{roku}
^{rehabilitowany} ^{Turk} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy}
^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy}
^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy}
^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy}
^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy}
^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy}
^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy}
^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy}
^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy}
^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy}
^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy} ^{okazy}

4) Polziny cięz zadowol. miasta, waj-
 dny drugi połony Sulecin, najbar-
 dny obywatel Szwedka i nasby pnie
 kilkunajset najady Moschny, Ry-
 kowego. Ksi pod koniec tego stu-
 lecia ludność spada do jednej pią-
 tej, a w kilkadziesiąt lat później,
 gdy przetrwała i abywał, Ignacy Lis-
 siński, ujęsconił swyż "Monacho-
 machiz" w książce w Sulecin, napisal o ri-
 arim, że ma "bram ctery wioach, dwie
 klantonów i gdzieś gdzieś domów" (czyli
 z parnami) *nie odprawy dawać za ilosc klat-
 kow: dwie nie, dwie nie?*
 Ale to oddaloni sprawy. Jak wygl-
 dalo miasto nigdy dawniej wojnowy,
 a wiec w Dawidzie Sulecin nie podlegał?
 Oboz, zgodnie z tytulami, widziacemy w
 nim podzial (czubony) na ctery Suleciny:
 centrum, ~~południe na cudejs~~ i
 cudejs i pilsudczykow, w niej lub beer-
 dny ciberulaych. Dalej - dwie klatki Dobo-
 bnickie, gdzieś Bronowice i Piarkei,
 to czerwono talne Kalinowskomy, Wieniow
 i Kasimierz, i wrescie ludność zydowska:
 stare miasto, Podwale, ul. Subarbowska,
 Pewnie moznaby było wprowadzić dalne
 wzrosty, wiec i, upo, spotkanoie zydowska,
 nie była jednolita, dzielila się na najwazny
 na trzy grupy: ortodoksy, spolois wozam
 inteligencja i ~~po~~ po drodze między peducy
 i drugimi - ~~nie~~ sko mium wozam
 i miodni. Do tego dochodziły podziaty

5) społeczno-ekonomiczne: robotnicy,
niepełniacy, inteligencja, mieszcza w
wielkich zakładach, przemysłowcy, bogaci
kandydaci, bankierzy. ~~Wielki~~ Ideo-
logiczne ~~podziały~~ te podziały tuie przeky-
wały się między sobą. Przykładowo:
europejsko pryncyplej bogactw zut krakowskiej
Brazylji mógł obdnieć do ~~Bohary~~ i
odprawiać ciabasz przy śniadach, a syu
mifionera eubujarutowat w Marlsam i
Sewinyu. Ale o tym w jednym z dal-
szych artykułów.

Spis treści z mot to-
Sublia miał dwie tradycje: powstanie
i nieco późnij socjalistyczne. ~~Spis treści~~ nazwa
"Czerwony Sublia". No, znowu Bożem z
tym bywało. Noy gwolił ds. Seccionowego
Człui o imi pryncyplej / skale składowo
kandydaci, a w dniu 1-yu Maja wiece
wielkotniaie diużnice były w do roku 1920-go
całkowicie opanowane przez PPS. Tu
Rydy-Sungdy i Ignacy Paryński, wiotymki
socjalistyczny dute "Republiki Subelskiej", a
w maju 1926-go pot niszczą wykośdo
na ulice, by kandydaci obkaszuleni
półki niechoty Seccionów, gdy, z gnowa-
sem Romerem na ciele iminentował na
dworze, by myśleć z skursem. Pił-
sudskiemu. To była jedna tradycja hi-
storyczna, świadczy, w wiarum lity dumi
Seccionowym, powstaniem zwa Faj-
stanie, wiodym Prusem Stefanem
Zerowskim, ~~Seccion~~ bo ~~powstaniem~~
canci

6) Frakcji Rewolucyjnej, legionistów,
militantów pod pseudonimami "Kastrowi",
erectowców, stądaców i innych ma-
giestrów, w porze 1918-go roku.
Długa tradycja wygładza i uproszcza
i nie jest, jak w czasie ~~tego~~ zabone wyji-
skim i inteligentnym i białym. Swoją rolę
po roku 1865 głównie z zdekretowanych
nieumian, probantów i majstrów na skutek
karnych, konfiskat, niepowodzenia i nie
rządca. To on, w tym czasie, bliska
milionami do kares "marty organicy",
stworzył z białym "kara polityczny",
spółczy "Narodowej Demokracji".
Konflikt między pierwszymi i drugimi
grupami nie od razu objawił się, ale silnie
zaprowadzał się do niego pod czas
Dekretu Nocy Sierpniowej, a następnie
po roku 1920, gdy ~~nie~~ własne zna-
mionem ~~pr~~ prawidłowego paroksyzmu po
zamiarach majstrów, ale i ~~problemi~~.
Pamiętam szczególnie, po śmierci Na-
rubnowa i ~~co~~ reakcji jego żony, i
śmierci cudeńka Eubliwa zburzona
w mienkaniu pewnego malara (prowo-
tego ~~osob~~ prywatnie cieniem, ale swa-
rowanego politycznie fanatyka), by
~~osob~~ w najbliższym skupieniu ogłaszać
alegoryczny obraz, przedstawiający ową
podwójną tragedię. Wyglądało to
nabieżnik. Nad grupą niewiadom-

8) Były na KUL-u trzy
korporacje ~~Co~~ studenckie:
~~Concordia, Hetmania~~ ale tylko
~~panowie z Coaf~~ Concordia
& Astrea i Hetmania. Ale tylko
panowie z Concordii mogli wstąpić
do szeregów. To zapewne jeden z wielu
urzędów afisz do pisania "ban-
dy" no, co i "każdemu wolno ko-
czyć" jak pisał mój ówczesny
prez.

~~Na Uniwersytecie~~
W Bratysławie KUL-u istniała
miata Młodzież Narodowa, sprzymierzone
z organizacją katolicką, "Odrodzenie".

ZPMO (Związek Polskiej Młodzieży De-
mokratycznej) i "Legia Młodych" skła-
nowy ^{kwoty} grupy, które razem przegrywały
wybory, gdyż stanowiła zdecydowaną
większość. Była jeszcze grupa "Sudowa",
ale ta w ogóle nie odgrywała żadnej roli,
~~o tym~~ o wielkości decydowały powieści
podobne z dobrymi ~~metodami~~ metodami
inżynierskimi. Wiadomo było, że mało
kto buncyta studia) przeważnie
chodziło o znalezienie inżyniera. Oczywiście
były wyjątki, ale przede wszystkim
Stanisław Malowski, który studiował

9) Lisbon, a wyjechała na przew-
 szonydz powieści pisarski, które
 wychodziły z rąk po dwóch, trzech la-
 tach studiów. Ale zdarzył się taki
 student - męski. Tym nie chodziło
 o tytuły naukowe, prośba nudiły
 ni w towarystwie męskim, przeważnie
 starszym. Zdarzenie ~~nie miało~~ ^{nie miało} ~~nie miało~~ ^{nie miało}
 zakochania ~~nie miało~~ ^{nie miało} ~~nie miało~~ ^{nie miało}
 w filii tych studiach.

Na tym ulence - pierwszy odcinek
 politycznego filmu, którego tytuł
 czytelnicy już znają: "Cztery Lubliny".

CZTERY LUBLINY - II

Wali napisaniem w pierwszym odcinku
 kontrasty i podcięcie i polityczne w Lubli-
 nie miały charakter ~~nie miały~~ ^{nie miały} ~~nie miały~~ ^{nie miały}
 pod tym względem ~~nie miały~~ ^{nie miały} ~~nie miały~~ ^{nie miały}
 które można było uznać za reprezentacyjne
 obco wyświadek, na ile oświecony Polak.
 Inteligencja, która skupiała się głównie
 w kręgu krakowskiego ~~nie miały~~ ^{nie miały} ~~nie miały~~ ^{nie miały}
~~nie miały~~ ^{nie miały} ~~nie miały~~ ^{nie miały} (Tęczyński, Maja,
 Kosiński, Kozłowski etc.), która ni
 jak już napisaniem, zwrócił na dwie grupy:
 Narodowa Demokracja: jednej strony, ~~nie miały~~ ^{nie miały}
 elementy autyentyczni + i drugiej: ~~nie miały~~ ^{nie miały}
 grupa była o wiele bardziej zwarta i solidarna
 Ta druga ~~nie miały~~ ^{nie miały} - znaczące ~~nie miały~~ ^{nie miały}
 9) ~~nie miały~~ ^{nie miały} ~~nie miały~~ ^{nie miały} ~~nie miały~~ ^{nie miały}

Przygotowane do druku trzypiętomowe *Notatniki* Józefa Łobodowskiego, wraz z naukowymi artykułami na ich temat to dzieło ważne, potrzebne i od dawna w gronie badaczy literatury emigracyjnej oczekiwane. Rzetelnie opracowane tomy ujawnią czytelnikowi utwory dotąd nieznanne, lub znane w innej wersji, tym samym wypełnią dotkliwą lukę w dostępnym korpusie tekstów pisarza, odsłonią arkana procesu twórczego (nic o tym procesie dotąd nie wiemy, pytanie o to, jak pisarz pracował na swymi tekstami nie było dotąd stawiane). Trudno też nie zauważyć, że publikacja *Notatników* rzuci nowe światło na całą twórczość Łobodowskiego, da impuls do zintensyfikowania prac badawczych zarówno nad jego życiem (barwna biografia „Łobody” wciąż pozostaje słabo znana) jak i nad jego rozległą, wielorodzajową i wielogatunkową twórczością (Łobodowski był przecież nie tylko poetą, ale także prozaikiem, dramaturgiem i znakomitym publicystą).

Prof. dr hab. Wojciech Kudyba